

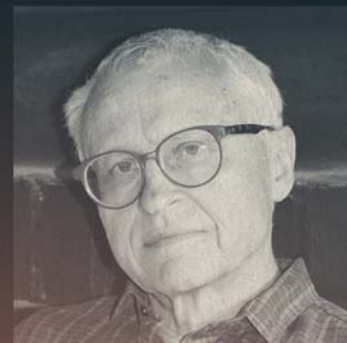
Jan Polkowski

Wiersze wybrane

Jan Polkowski

urodzony w 1953 roku, poeta, pisarz. Przed 1989 rokiem działacz Studenckiego Komitetu Solidarności, podziemny wydawca i redaktor m.in. Krakowskiej Oficyny Studentów, Wydawnictwa ABC, kwartalnika „Arka” i dwutygodnika „Świat”. W PRL-u publikował poza zasięgiem cenzury. Debiutował w 1978 roku na łamach kwartalnika „Zapis”. Pierwsza książka, pt. *To nie jest poezja*, ukazała się w Niezależnej Oficynie Wydawniczej NOWa w roku 1980. W niepodległej Polsce redaktor i wydawca m.in. „Czasu Krakowskiego”, tygodnika i miesięcznika „Film” oraz internetowego Portalu Filmowego.

Ma dwóch synów, dwie córki i pięcioro wnucząt. Mieszka z żoną w Tymowej, wraz z pięcioma psami i sześcioma kotami.



Jan Polkowski
Wiersze wybrane

Jan Polkowski
Wiersze wybrane
1977-2019

słowo wstępne
Józef Maria Ruszar



Rada Programowa serii „Poeci Krakowa”

dr Stanisław Dziedzic

dr Tadeusz Skoczek

Janusz M. Paluch

Wybór wierszy

Józef Maria Ruszar

Zdjęcie autora

Anna Polkowska

Redakcja

Anna Gregorczyk

Projekt okładki i koncepcji graficznej

Piotr Jakubowicz

Korekta

Magdalena Matyja-Pietrzyk

Skład i przygotowanie do druku

FALL, www.fall.pl

© Copyright by Biblioteka Kraków, 2020

© Copyright by Jan Polkowski, 2020

ISBN: 978-83-66253- -3

Wydawca

Biblioteka Kraków

pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków

tel. +48 12 61 89 100

www.wydawnictwa.biblioteka.krakow.pl

Jan Polkowski. Zaczynając od mojego osiedla

S koro seria nosi taki, a nie inny tytuł, a wydawcą antologii jest Biblioteka Kraków, zacznijmy od pytania o miejsce poety na ziemi. Czy w poezji Jana Polkowskiego istnieją jakieś żywe więzi z Krakowem i czy jego dusza czuje jakąś potrzebę podtrzymania duchowej komunikacji z – mówiąc urzędowo – „stałym adresem zamieszkania”? Pytanie nie jest wydumane. Kilka lat temu, podczas Nocy Poezji w Krakowie, doszło do ostrej polemiki między Janem Polkowskim a Ryszardem Krynickim o „poetycką geografię” i źródła tożsamości pisarza. Konkretnie, autor wiersza *** *Kraków gawrony z wrzaskiem lecą na żer* zauważył, że wielu wybitnych krakowskich poetów – w tym Noblistka, która niemal całe swoje życie spędziła w tym mieście, ale nie poświęciła mu ani jednego wiersza – pisze jakby znikąd. Ryszard Krynicki czuł się w obowiązku bronić honoru Wisławy Szymborskiej i odpowiedzieć równie zasadniczo, przekonując, że istnieją style bardziej uniwersalne. Inny poeta słusznie podkreślił, że „poezja nie jest na służbie geografii”.

Tymczasem autor wiersza *O Nowej to Hucie piosenka* (tom *Ogień*), nawet kiedy przewrotnie nawiązuje do stalinowskiego szlagieru, to składa wyznanie wiary i miłości do miasta swego dzieciństwa i młodości, a jest to właściwie element poetyki godny romantyków, Iwaszkiewicza, a zwłaszcza Miłosza, który – jak nikt inny w XX wieku – utrwalił w poezji i prozie swoją małą Ojczyznę. Przywołując stwierdzenie autora *Dykcyonarza wileńskich ulic*, że „losem dzisiejszego poety jest wygnanie”, Polkowski upiera się, że nieodłączną częścią ducha poety jest miejsce urodzenia, dorastania lub dorosłego życia – miasto, które można „nieść w sobie po drogach wygnania”, jak pisze Herbert w *Raporcie z obłązonego miasta*.

Nowa Huta, osiedle Krakowiaków

Skoro tak brzmi *ars poetica*, zapytajmy o Kraków Polkowskiego i zacznijmy od pierwszego stwierdzenia, że poeta urodził się w Bierutowie na Dolnym Śląsku, a nazwa miasteczka – co dla antykomunisty nie jest rzeczą błahą – nie ma nic wspólnego z ówczesnym prezydentem Polski Ludowej. Los oszczędził dumę poety i Bierutów nosi swe imię od spolszczonego w średniowieczu imienia margrabiego Bertholda, ojca św. Jadwigi Księżnej Śląskiej¹. Dzieciństwo i wczesną młodość spędził Polkowski w Nowej Hucie, do której – za chlebem – udali się jego rodzice, inżynierowie. Dla zaspokojenia naszego poczucia humoru dodajmy tylko, że mieli dyplomy z rolnictwa, ale ludzi wykształconych brakowało i intelektualna pustynia przyjęła ich z radością, bo co inżynier, to inżynier. Wszak budowa nowoczesnego, świeckiego, idealnego komunistycznego miasta niekoniecznie wyglądała jak te z socrealistycznych wierszy, a nawet ze sławnego *Poematu dla dorosłych* Adama Ważyka, który również dzisiaj, siłą ciężenia PRL-owskiego wykształcenia, uchodzi za odważny i uczciwy utwór. Jego pogardę wobec prostego ludu łatwo zauważyć, porównując z wierszem Polkowskiego – uważnego kronikarza tego miejsca ciężkiej harówki, bezkarnego pomiatania ludem oraz wybuchających co pewien czas buntów. Napisany w kontrze do poststalinowskiego wiersza *Poemat dla dorosłych* [z tomu *Cień*], z dedykacją dla „Rodziców, mieszkańców Nowej Huty”, ukazuje robotników prostych, ale nie prostaków, ludzi wynoszonych z komunistycznego poniżenia do godności dzieci Bożych za sprawą religii ojców:

Znad wielkich pieców pełzł nisko gorzki żal dymów i krążył
w płytkim powietrzu

1 Tak podaje Wikipedia [za:] J. Lompa, *Krótki rys geografii Śląska dla nauki początkowej*, H. Handel, Głogówek 1847, s. 23.

starego koryta Wisły. Półpiśmienni chłopci *wojną złamani*
losem starci
stali w gęstym tłumie i z trudem obracali w ustach słowa
świeży śnieg
i siny stalowy ogień. *Pater noster qui es in coelis*
sanctificetur nomen tuum. Adveniat regnum tuum.

Ich matki w Karpatach w słodkim pyle Lubelszczyzny
w szmaragdowozielonych skrzydłach Jodłowej Puszczy szły
boso na
sumę przez szadz późnej nocy w chustach zsuniętych na
czoła.

Opuszkami palców krążyły niemo po paciorkach różańca
a puls głośno recytował modlitwę.

Ojcowie stali w błocie przed połowym ołtarzem z językami
zanurzonymi w wietrze
nasiąkali chorałem łacińskich słów i ssącą wilgocią
przednówka.

Klucz głosów zataczał równe kręgi nad resztkami wsi
Bieńczyce
razem z cichą rodziną wron. [...]

Przez religię, Kościół i – niezrozumiałą, ale pachnącą dosto-
jeństwem – łacinę prości ludzie wpisani zostali w krąg wielkiej
kultury śródziemnomorskiej, a poeta patrzy na nich oczyma Wer-
giliusza jak na pokonanych Trojan, cytując *Księgę II Eneidy*. Na
wszechwładne błoto i moralną nędzę odpowiedzią była modlitwa,
więc walka o budowę obiecanego kościoła [dzisiejszej Arki Pana]
przybrała dramatyczny obrót w roku 1960. Zrządzeniem losu mały
Janek, mieszkający na osiedlu Krakowiaków, z okna przyglądał się
rozpędzaniu wiernych gromadzących się w obronie krzyża. Po pół
wieku, już jako dorosły człowiek, obraz ten zapisze jako fragment
poematu *Powodzianie* [z tomu *Cantus*]:

*mama [...]
trzymała mnie trochę zbyt mocno za rękę gdy szliśmy
obok Teatru Ludowego mijając ludzi w hełmach psy
i mdła błyszczące bagnety
i dnia siódmego – o zmierzchu siedziałem w kuchni
na podokiennej szafce patrzyłem znad firanki na uciekający
w panice tłum podjeżdżające tyłem budy.
Zapytałem: mamó czy to już jest
wojna?*

Być może to dziecięce doświadczenie zadecydowało, że historia idealnego komunistycznego miasta została opisana w jego wierszach nie tylko „wypadkami”, ale i nazwiskami. Z jednej strony jest to lista oprawców, którzy – zdaniem poety – zastąpili sobie na straszliwe *non omnis moriar*, dlatego w wierszu *O Nowej to Hucie piosenka* [z tomu *Ogień*] wymienia ich po nazwisku („tow. Bierut, Beria, Berman, Borejsza”) lub grupowo, gdy chodzi o pisarzy i intelektualistów zdradzających własny naród („dystygowani poeci mitu śródziemnomorskiego/ prawdziwi katolicy marksieści, nie golący się jeszcze filozofowie/ dźwigający na sercu swój pierwszy pistolet”), a na koniec szyderczo wspomina „całą postępową ludzkość”, aby ukazać współodpowiedzialność światowego komunizmu za jego zbrodnie w krajach, gdzie zwyciężył. To oni w wierszu dokonują rzeczy niezwykłej – kolektywnie wznoszą *pomnik trwałszy od spizu* – to znaczy martwe ciało dwudziestoletniego ucznia technikum, zastrzelonego w czasie robotniczej demonstracji:

Teraz wszyscy gdziekolwiek jesteście na świecie [po
operacjach
plastycznych zmianach życiorysu] a zwłaszcza jeśli
zostaliście w Polsce
bowiem jesteście przywiązani do idei wolności niepodległości
tolerancji więc teraz kiedy to zdziwione chłopięce ciało

wyprężyło się na chodniku rozprute ołowiem
każdy z was może powiedzieć: *exegi monumentum*
to zostanie po nas.

„Pomnikowe” dzieło morderców, szyderczo przedstawionych jako „zbiorowy Horacy” – to trup Bogdana Włosika [1962–1982]². W cytowanym już wierszu *Powodzianie* pojawi się jeszcze inna ofiara generała Jaruzelskiego – Ryszard Smagur [1955–1983]. Czym więc jest ta tragiczna dzielnica Krakowa? I czy niedawna historia nie wpływa na jej obecną egzystencję? Nowa Huta, w której jednak kwitło zwyczajne życie, jest również pełnym sentymentu wspomnieniem dzieciństwa i młodości, chociaż po kilkudziesięciu latach z trudem odtwarza się jego koloryt, smak i zapach. Jaka jest dzisiaj? W kolejnym fragmencie *Powodzian* czytamy:

W przeciwnatomowych schronach pod naszymi mieszkaniami
zamknięte było pełne nieruchomego pyłu pozbawione snów
powietrze fetor schwytych w łapki szczurów i niewidoczni?
niewidzialni? nieistniejący? generałowie [...]

Po latach w skurczonych piwnicznych pomieszczeniach
za drzwiami z ciężkiego zbrojonego betonu
wegetowały już tylko anonimowe popiersia
zużyte pojemniki po pudrze medale wycięte
z ziemniaków i kolorowej bibułki nieskazitelne ciało
maturzysty bez śladów pobicia nieco zniszczona sutanna

-
- 2 Mowa, oczywiście, o odpowiedzialności moralnej symbolicznych „budowniczych pomnika”. Realny monument, poświęcony zamordowanemu oraz innym ofiarom stanu wojennego, został odsłonięty w 1992 roku w 10. rocznicę śmierci 20-letniego ucznia technikum – pracownika Huty im. Lenina (plac Włosika w Bieńczycach). Zabójca, kapitan SB Andrzej Augustyn, został w wolnej Polsce skazany na 10 lat więzienia (a następnie, po 5 i pół roku zwolniony).

księdza który walczył ze smokiem czarny
szron uczniowskich spowiedzi z grzechów
to prawda zbyt dziecinnych by łamać za nie życie
i grube warstwy kurzu losów których już nikt
nie miał przeżyć.

Wyteżałem uszy by wyłović niewyraźne odgłosy
gasnących oddechów? próśb? donosów? złorzeczeń?
pogróżek?

pijackiego śpiewu? wojny domowej
pająków i myszy? [...]

Śmieci suwerennie włądały wnętrzościami domów dumnie
nosiły głowy rozpychały się panoszyły chorobliwie
błyszczące i kolorowe
mieniące się tęczową zgnilizną królewskie
klejnoty imperium.

I był jego testament – śmierć.

Nieśmiertelne śmieci w pomieszczeniach, których nazwę trzeba obecnie wyjaśniać jako relikwiarz zimnej wojny i jej strachu przed atomową bombą – oto, co zostało z Historii pisanej przez duże „H”. Dawna duma imperium i dzisiejsza podrzędność życia byłego robotniczego miasta, a obecnie dzielnica nieróżniąca się od innych – oto własne, osobiste doświadczenie poety. Ma ono wymiar tragiczny, choć przełamany tkliwą pamięcią dzieciństwa, które [prawie] zawsze jest rajem, nawet jeśli poemat pyta o koniec świata:

Przecież zaznałem tyle miłości i tego rodzaju błogiej
rozmarzonej nadziei jaką przed zaśnięciem lub w niedzielne
bezwładne popołudnia o smaku przejrziałych wiśni
przechowuje w spiżarniach rodzinny dom pszeniczna muzyka

kuchennych zapachów klawiatura grzbietów książek
za szybą pomocnika miękka dłoń która zabiera
i przywraca światło.

Młodość poety upłynęła w komunizmie, pamięć wierszy, takich jak na przykład *Restauracja „Arkadia”: Nowa Huta Plac Centralny* (z tomu *To nie jest poezja*), zachowała więc też nieistniejącą już atmosferę i znaczenie centrum miasta:

Sekretarz Generalny Wszechrosyjskiej Komunistycznej Partii
(bolszewików) Włodzimierz Iljicz Lenin. Obsypany
śniegiem sześciometrowy kolos wraca z roboty
do baraku. Wycieńczony głodny. Na nogach trzyma go tylko
wzrok konwoju *gałuboj*. Mróz podaje mu pięść
zatrzaśniętą jak rozgrzane brzęczące stopy. Polarna
noc rozbiera się do naga. Apel.
Na poplamionych obrusach
kołymskiego śniegu.

Wiersz ten, kiedyś szydlerczo odzierający „wodza proletariackiej rewolucji” z nimbu idealizmu i przypominający, że to on stworzył pierwsze w Europie obozy koncentracyjne, dzisiaj prowokuje do nowych interpretacji, w duchu antropologii kulturowej przestrzni. Obecnie historyk literatury mniej interesuje się przenikaniem obrazu restauracyjnych obrusów i podbiegunowych śniegów gułagów. Najnowsza lektura kładzie nacisk na bankructwo arka-dyjskiego mitu.

Ta część Krakowa miała być przecież miastem spełnionych ideałów socjalizmu. Symetryczny plac Centralny (zwany najpierw placem Józefa Stalina) był jej komunikacyjnym sercem i zarazem punktem kulminacyjnym ideologicznej narracji. Miał skupiać najważniejsze ośrodki życia kulturalnego (część

z nich nigdy nie powstała] i otwierać drogi ku innym sferom życia – takim jak praca i wypoczynek (niektórych terenów rekreacyjnych nie udało się utworzyć). Dlatego właśnie stąd wychodziły najważniejsze dla miasta arterie, tworząc m.in. tzw. oś pracy, wiodącą wprost do Huty. O ideałach socjalizmu miało tu mówić wszystko – nie tylko układy ulic, rozmieszczenie budynków i ich przeznaczenie, lecz także architektura arkadowych pierzei placu, wyraźnie nawiązująca do estetyki socrealizmu. Komunikat o dobrodziejstwach nowego ustroju miały zaś utwierdzać przede wszystkim ślady „ojca-założyciela” komunizmu – Włodzimierza Iljicza Lenina. W symboliczny sposób uległy one potrojeniu: z Huty im. Lenina prowadziła do placu arteria im. Lenina zaś w samym centrum placu w 1973 r. stanął jego monumentalny pomnik. Wiersz zmienia zatem utopię w antyutopię³.

Utwór napisany w PRL-u, a czytany na trzydziestolecie wolnej Polski nastroja do refleksji nad emblematycznymi przekształceniami, które zlikwidowały komunistyczną symbolikę przestrzeni bez całościowego zagospodarowania przez nowe symbole i przez to pozbawiły mieszkańców samowiedzy i tożsamości. Dzisiaj nie ma Huty im. Lenina, prasa donosi, że ArcelorMittal Poland planuje tymczasowo wstrzymać pracę wielkiego pieca, a aleja Solidarności kończy się w pustce (kiedy otworzy się internetowy plan miasta – ulica zdaje się kończyć punktem skupu palet). Sam zaś pomnik najpierw próbowano zniszczyć, a następnie rozebrano. Ów zamach na kolosa również znalazł odbicie w twórczości Polkowskiego [*Ob. Jan Polkowski – uzasadnienie istnienia*], choć jest to raczej dokument epoki:

3 W. Kudyba, *Jan Polkowski. Obecny nieobecny*, [w:] tegoż, *Generacja źle obecna*, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu. Redakcja „Toposu”, Sopot 2014, s. 123.

W dniu 18 kwietnia 1979 r. o godz. 2⁰⁰ w Krakowie Nowej Hucie przy alei Róż, nastąpiła eksplozja materiału wybuchowego, która spowodowała częściowe uszkodzenie pomnika Włodzimierza Lenina.

Celem przeszukania mieszkania Jana Polkowskiego było ewentualne odnalezienie przedmiotów mających stanowić dowód

procesowy w niniejszej sprawie.

W związku z powyższym przeszukanie mieszkania ob. Jana Polkowskiego należy uznać za uzasadnione.

Prokuratura Wojewódzka w Krakowie.

Wiersz można uznać za standardową procedurę poetycką stosowaną przez Nową Falę. Służbowa notatka (i dlatego wiersz zapisano kursywą, jako tekst obcy) mocą własnego absurdu i stylu posiadała wystarczający potencjał poetycki, aby zacytować ją *in extenso*. Ironia czerpie siłę z drobnego przekręcenia nagłówka standardowego formularza, który w tamtych czasach brzmiał: „Uzasadnienie przeszukania”. Dzisiaj jednak można z całą powagą stwierdzić, że każde z miejsc na ziemi, nawet przypadkowe, lecz głębiej przeżyte i właściwie zinterpretowane przez wpisanie w zasadnicze egzystencjalne pytania, jest dla twórcy jednocześnie materiałem i samopoznaniem. W tym konkretnym przypadku chodzi o pytanie o własny i wspólny los. Pośrednia i nienarzucająca się odpowiedź brzmi: tak się wychodzi z egoistycznego istnienia ku zbiorowości, bo czy warto „żyć tylko w pojedynczym losie/rozpoznanym do nudnego bólu?”. Kwestia ta wielokrotnie powraca w poezji Jana Polkowskiego, by wymienić tylko pojawiające się w tomie *Cień*: *** *Bach*, toccata G-Dur, *Isniące dymy rajskich*, *** *Jakże łatwo żyć wewnątrz światła*, *** *Więc jestem ja*, *** *Nic. Noc. Świecące języki*.

Prokocim i daleki Lwów

Prokocimski adres był krótkim epizodem i skończył się z banalnych, to znaczy finansowych powodów – młodemu małżeństwu nie starczało na czynsz, więc trzeba było zamieszkać najpierw u rodziny, a potem – gościnnie – w mieszkaniu Adama Zagajewskiego, kiedy ten wyjechał na Zachód. Wschodnia dzielnica miasta, będąca niedawnym przedmieściem na trakcie do Lwowa (na początku XX w. zamieszkiwali je kolejarze, którzy w II Rzeczypospolitej zbudowali tu nowoczesną kolonię – dumę ruchu robotniczego), została w czasach Gomułki i Gierka zamieniona w blokowisko Nowego Prokocimia. *Genius loci* objawił się w wierszu *Wysoko pod niebem żurawie leciały*:

Chwilowo żyjemy
(na walizkach) w jednym domu z innymi
stu dziewięcioma rodzinami.
Dzieli nas jedynie okno.
Dziesięć pięter. [Wysoko. Ciężkie
dymy nad Prokocimem].
Odna w Boga Korolewa,
Mołytza za namy,
Z Czenstochowy, Poczajewa,
I znad Ostroj Bramy.

Bardzo dziwny wiersz, nieprzyzwoicie biograficzny, jakby (pochwalnie!) powiedział Czesław Miłosz. I dodajmy: wymagający objaśnienia. Pierwszy kontekst jest jasny – przejściowość sytuacji została dobitnie podkreślona, a liczba mnoga wskazuje na jakieś „my”, które także daje się wyjaśnić na podstawie biogramu poety jako małżeństwo z Anną Petrycką, absolwentką archeologii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Także miejsce i czas nie są tajemnicą, skoro pada nazwa dzielnicy, a data druku tomu *To nie jest poezja* jest znana (Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, 1980).

Dzisiejszy badacz literatury chciałby czytać ten wiersz w konwencji „nie-miejsca”:

...projekt blokowisk, lekceważąc psychologiczne i społeczne potrzeby ludzi, zapominając o ich potrzebach duchowych, nie jest w stanie spełnić marzeń o nowym, lepszym życiu. [...] Wchodząc w spór z PRL-owską narracją, [poeta] odsłania rzeczywiste problemy ludzi „zablokowanych”, przymuszonych do funkcjonowania w gigantycznej „maszynie do mieszkania” – sprawnej, lecz przecież nieludzkiej, niezdolnej do wytworzenia więzi społecznych. Tytułowe żurawie stają się bowiem w wierszu nie tylko symbolem wygnania, lecz także obcości, niemożności zakorzenienia w miejscu, którego niepodobna uznać za własne⁴.

Socjologiczny kontekst przywoływany przez badacza (migracja ludności wiejskiej do metropolii i poczucie wygnania), zapewne jest słuszny, choć wydaje mi się, że raczej podświadomy. Ważniejszy wydaje się kontekst romantyczny, wzięty z wiersza *Wyjście z Polski* Seweryna Goszczyńskiego:

Wysoko pod niebem żurawie leciały,
Wysoko leciały, a lecąc śpiewały.
Polami lasami, wojacy szli w tłumach,
Bez pieśni, bez grania w milczących szli dumach⁵.

Obraz lecących żurawi wydaje się bogatszy niż symbol migracji, a nawet emigracji, a modlitwa w języku polsko-ukraińskim

4 Tamże, s. 121.

5 S. Goszczyński, *Poezje wybrane*, red. J. Tutinas-Romanowska, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1978, s. 35, cyt. za: W. Kudyba, dz. cyt., s. 86.

[tekst *Mołoty* pochodzi z nagrobka pochowanego na Cmentarzu Łyczakowskim Platona Kosteckiego [1832–1908] – jednego ze zwolenników zbliżenia między naszymi narodami] przywołuje nie tylko Kresy, ale przede wszystkim wielojęzyczną i wieloetniczną Rzeczpospolitą. Żurawie w kontekście zadymionego Prokocimia pobocznie obrazują również swobodę czy wręcz wolność, nawet z historycznym bagażem emigracji. Zresztą wiersz Goszczyńskiego jako całość nie jest znowu tak pesymistyczny, bo obarczony prometejską nadzieją na powrót. Prawdę mówiąc, żurawie u Goszczyńskiego, podobnie jak w *Uspokojeniu* Słowackiego⁶, lecą do Polski i dlatego są szczęśliwe, a może tylko szczęśliwsze od ludzi. Co zaś do repatriacji, to stanowi ona rzeczywiście ważny motyw w poezji Polkowskiego, dość zresztą oczywisty, skoro jak pisze w *Powodźniach*:

W rodzinnym albumie znalazłem ukryty pod zdjęciem
wypełniony cyrylicą papier o zwolnieniu w 1946 roku
jeńca wojennego Zdzisława Polkowskiego

Tu dodajmy, że nazwa „re-patriant” była dla Zdzisława Polkowskiego obraźliwa, skoro wysiedlano go z wileńskich Kresów, na których rodzina Polkowskich żyła od lat trzystu, a więc nie został ojczyźnie przywrócony, lecz go z niej wysiedlono. „Skatowany przez polski los szlachetka kresowy” z wiersza „*Juglans regia*” [z tomu *Cantus*] i wileńskie Kresy najdobitniej pojawiają się w pięknych wierszach, jak *Podróż do Święcian* i *Pniowo* [z tomu *Cantus*] oraz *Ortografia* [z tomu *Gorzka godzina*]. Co zaś do Lwowa, to na Łyczakowie znajdują się rodzinne groby żony i stąd ten ukraiński

6 U Słowackiego żurawie są nawet symbolem silnej nadziei: „Co nam zdrady! Jest u nas kolumna w Warszawie,/ Na której usiadają podróżne żurawie”, a dalej, na Starym Mieście „zielone Kilińskiego oczy” tylko czekają na sygnał do broni.

wątek w czasach, kiedy poeta mógł co najwyżej myślą wyjechać na Wschód. I znowu zauważmy, że poruszyliśmy wątek stały. Miłość do Kresów, podobnie jak sympatia do narodów zniewolonych przez sowiecki imperializm, jest stałym motywem tej poezji i – trochę przypadkiem – ma związek również z Krakowem.

Róg Loretańskiej i Kapucyńskiej

Polkowscy zamieszkali w samym centrum Krakowa, które – jak każde konkretne miejsce – może nie zamykać na świat, lecz przeciwnie, otwierać na bliskość rzeczy odległych geograficznie lub historycznie. Dwadzieścia pięć lat spędzonych na Kapucyńskiej 7 spowodowało wrastanie osobistej biografii w topografię, przeszłość i terażniejszość starego Krakowa, choć jednocześnie łączyło z resztą świata. *Pierwszy śnieg (widok z okna)* [z tomu *Cień*] – jak to w Krakowie – musi być podszyty historią splecioną w warkocz z terażniejszością. Przed kościołem znajduje się mogiła konfederatów barskich poległych 12 sierpnia 1768 roku, a w bocznym filarze ołtarza do dziś tkwi armatnia kula – pamiątka ówczesnej potyczki.

Problemy uczniowskiego dojrzewania są niemal jednoczesne z Kościuszką, który zanim pójdzie na Rynek przysięgać Narodowi śmierć lub wolność, poświęci szablę w kościele skromnych Braci Mniejszych Kapucynów, o czym głosi pamiątkowa tablica wykonana w 1894 roku przez Alfreda Dauna i umieszczona na ścianie kaplicy loretańskiej. Wracający ze szkół do domu Pan Tadeusz znał taki portret ze ścian rodzinnego dworu:

Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej, z oczyma
Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;
Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów,
Albo sam na nim padnie.

U Polkowskiego wzywający boskiej opieki Naczelnik przemaga w ten sposób swój strach i słabość, bo przecież odwaga tym się różni od szaleństwa, że nie oszukuje się siebie i racjonalnie ocenia szanse, docenia potęgę wroga i zna cenę klęski.

Śnieg leczy rany ale poranna ziemia
omotana październikowymi bliznami kolorów
nie pragnie dla siebie niczego.
Za oknem odlany z brązu Ojciec Pio
oczyszczony z dotknięć grzeszników przez bielejący wiatr
kładzie dłoń na szarym węzłowie lipy.
Jego krew obmywana jest przez troskliwą jodynę śniegu
bezsilne planety rozświetlające
niskie wieże kościoła Kapucynów.

Przed chwilą wyszedł z niego Tadeusz Kościuszko
stoi teraz na Rynku oparty o szablę
spowity w rozdarty całun dziecięcego śpiewu.
Czuje jak zwycięża go niezabliźniona śnieżna rana
jak karmi go strach i słabość
i oddziela od przechodzącej w milczeniu kobiety
którą chciałby osłonić
otulić białą chustą jej zdławiony krzyk
zgasić jej niedostępną samotność
i zanurzyć w obietnicę narodzin.

Śnieg stygmat języka odczytywany wspak.
Uczniowie pobliskiego technikum
stoją wokół krzyża Konfederatów Barskich
z naciągniętymi jak zakonnicy kapturemami
i układają z monosylab i przekleństw testament
swojej siły i zwycięstwa.

Słysząc natrętny charkot zajeżdżonego silnika ciężarówki
która wywozi z piwnic kamienicy
to co uskładano zapobiegliwie
przez gadatliwe pokolenia.

Śnieg zalepia okna wypala oczy.
Przygniata skąpe światło i nieuchwytny oddech.
Odległy od siebie już niczego niczego niczego nie pragniesz
odstąpić spod żarłocznego śniegu
wyrwać z jego bezbolesnego wnętrza
z zaborczego rozpalonego jak tyfus
tryumfu.

Konfederatom czy Kościuszcze chodziło o ocalenie zarówno śpiewających w kościele dzieci, jak i spotkanej na ulicy kobiety oraz dorastających dwieście lat później młodziaków, a także wszystkich innych niewymienionych w wierszu współplemieńców, bo przecież zaistnieli w nim jako *pars pro toto* wspólnoty obejmującej „wszystkie przeszłe i przyszłe pokolenia”. Wysiłki przeszłych bohaterów są tylko po części skuteczne, bo śnieg – ten symbol przemijania i zaborczej niepamięci, która wszystko pokrywa kołdrą zapomnienia – zacierza wszelkie ślady, a późne wnuki nie mają serca do staroci. Czas leczy rany, jak powiada przysłowie, ale Ojciec Pio nie chciałby, aby leczono jego stygmaty, tak jak niewątpliwie autobiograficzny podmiot liryczny nie chciałby zatraty przeszłości w brzuchu żarłocznego Chronosa. Niewinna biel śniegu jest znakiem klęski i symbolicznej śmierci.

Nabrzmiałe historię klasztor i kościół – jak to najbliżsi sąsiedzi – nie skrywają przed poetą tajemnic, przeciwnie: dzielą się swoją wiarą, codzienną radością i małymi sukcesami. Oto już niedługo jeden z kształconych tu ukraińskich zakonników powróci do Ojczyzny:

Siergiej z Odessy trochę młodszy od Pomazańca
kiedy wspinał się na białe wzgórze zgięty pod ciężarem
tajemnicy. W obcym języku polskim mówi prawie bez akcentu.
Wyświęcony u Braci Mniejszych Kapucynów
których klasztor od trzystu lat falując w powietrzu
nieprzerwanie mija moje okna. W domu nie widział
znaków. Ani łyzy ikony ani cienia krzyża ani odrastającej ręki
wiatru. Przez dziesięć lat XXI wieku przedzierał się
przez pełną zwątpienia mgłę Krakowa. W lutym pojedzie
do Dniepropietrowska. Półtora miliona mieszkańców i dwustu
wiernych. Opowiada jak po serii nadzwyczajnych wypadków
budynek kościoła z rąk świątłych oligarchów
panów życia ziemi sądów i policji wrócił do wiernych.
Nie spytałem o to jak odnalazł Boga i zaczynam żałować
patrzac w roztargnieniu na wędrówkę planet
śnieżonego kosmosu od milczenia wody do gasnącego za
oknem
krzyża konfederatów. Bo dzień już odwracał niespokojną
głowę
i pochylił się karmin obleczony w granatowo-złotą komżę.
Wiem mógłbym sam sobie odpowiedzieć że to jeden z cudów
których nie zauważają ci co ich doświadczają.
Krótkobrody Siergiej nie mówi o cudach
ale o przypadkach. I pewnie to przypadek że poczułem
dotknięcie jego pełnej ulgi i zachwyty spragnionej
wiary. I usłyszałem mozolny chrzęst dni jego życia
poruszających się wolno w każdym ze słów
Pisma. I zadrżała we mnie jego dłoń potykająca się
o oddech lecących na wschód ciężkich ptaków.
On myślał już o podróży pełen nadziei że weźmie udział
w najpełniejszej z ludzkich bo boskiej
samotności.

Z wiersza *Klangor* (z tomu *Cień*) dowiadujemy się o spotkaniu z historią, codzienną pracą zakonników i ich wytrwałą wiarą. Poeta, który został sąsiadem Braci Mniejszych Kapucynów, przedziwnym zrządzeniem losu poznaje dramat wiary na dalekiej Ukrainie – powolne odradzanie się Kościoła w wielkiej metropolii nad Dnieprem. Krakowscy kapucyni prowadzą sześć kustodii na Ukrainie i przygotowują kapłanów do duszpasterskiej posługi na Wschodzie, gdzie czeka ich trudna praca bez liczenia na nadzwyczajne okoliczności – stąd brak przywołania jakichś specjalnych objawień i wiary w cud, a wręcz przeciwnie: przygotowanie na zwyczajną powtarzalność gestów i modlitw według kilkusetletniej surowej reguły, przewidującej ubóstwo, kontemplację i nauczanie.

Wiersz wyraźnie powstał w czasach, kiedy media donosiły o cudach na Ukrainie i w Rosji. Na przykład w 2010 roku szesnastoletni Łukasz, mieszkaniec Terespoła, poprosił swojego proboszcza o reprodukcję ikony Matki Bożej Szybko Spełniającej Prośby. Kiedy kopia obrazu zaczęła ronić łzy, przeniesiono ją do cerkwi pod wezwaniem św. Apostoła Ewangelisty Jana Teologa. Podobne – złowróźbne znaki – pojawiły się w Równem i Odessie, w rosyjskim Nowokuźniecku i Rostowie nad Donem. Gdzie Rzym, gdzie Krym? W Krakowie, jak wszędzie indziej, możemy współdzielić los. Bo miasto i świat łączy się tysiącem nitkami kultury z całą tradycją europejskiej cywilizacji, jak w wierszu o incipicie wziętym – nie bez powodu – z *Piekieł* Dantego: **** Z właściwej drogi zejścia się nie strzegąc* (z tomu *Cień*). Okazuje się bowiem, że Wergiliusz może spacerować po ulicy Grodzkiej, mając po jednej stronie figury Apostołów strzegących wejścia do kościoła św. św. Piotra i Pawła oraz barokowe kopuły wieńczące biel kościoła św. Andrzeja, a po drugiej – plac z polską Kasandrą, to znaczy z Piotrem Skargą. Pojawienie się Wergiliusza w tak niezwykłym miejscu jest konieczne, by dokonać rozpoznania czasu, który „się przełamał”. Dwuznaczny termin przypomina Szekspirowski świat, co wypadł z zawia-

sów, a zarazem wskazuje na postmodernistyczne współistnienie rekwizytów kultury, niekoniecznie we właściwym im kontekście. Nie bór więc, ale współczesne miasto jest miejscem zguby, gdzie człowiek, który sto lat temu ogłosił się bogiem, sam siebie jednocześnie błogosławi i potępia w nowym – stworzonym przez siebie – chaosie.

Z właściwej drogi zejścia się nie strzegąc
szedł ktoś inny w tłumie wzdłuż gasnących ulic
wyżłobionych w brzemienne kamieniach Krakowa
przez przodków których los zbyt niejasny by mogli powrócić
zapalić płomyk wersetu nad głowami dwunastu
albo obok w wapiennej czaszce Świętego Andrzeja.
I milczeć z żyjącymi kołyszając lilię domowego smogu
w dolinie między Ojcowem i Wieliczką.

Czas się przełamał.
Spływa po tynku kamienic list znad Eufratu
wielkich poetów klinowego pisma
kwitną tatuaże nienarodzonych
i najdoskonalsze milczenie graffiti.

Wokół niespiesznego przechodnia tłoczą się
oniemiały urzędnicy Galicji i Lodomerii
profesorowie wykładający w kopalniach niklu i ołowiu
skośnoocy humaniści przybyli na małych konikach
z podbitej Moskwy
zniszczony wiatrem Grek z przetrąconym językiem
474-letni jezuita krępujący braci zbyt żarliwą wiarą
Nefretete jej młode ciało w nabijanej ćwiekami kurtce
i kolczykiem w opalu nozdrza
[...]

Przechodzień widzi obłoki twarzy
swoich nie całkiem umarłych Ojców i Prześladowców.
Nie chce do nich mówić.
Mógł być ostatnim z rodu chochołów rytmem epepei
strażnikiem czarnego krzyża i niewinnej krwi
a jest tylko testamentem ziaren zatrzymanego wiatru
przeźroczytych tablic zbieranych z placów przed świtem
gdy klaksony śmieciarzy porannych dostawców
i kadzidło miłości wzywają wszelkie stworzenie
by powstać w świetle zorzy pulsujących ekranów
i przy hipnotycznej muzyce nienasyconych ciał
tańczyć i śpiewać zdradzać i palić ofiary.
Martwą ręką potępić siebie
i siebie błogostawić.

Krakowska wersja objawienia piekła – cywilizacyjnej katastrofy prezentowanej wśród międzynarodowego tłumu – została niepokojąco dokładnie uformowana ze znanych nam elementów. Poezja Polkowskiego od zawsze była rozpoznawana jako literatura apokaliptyczna, wieszcząca zagładę moralną i polityczną, lecz jednocześnie z zarysowaną delikatnie metafizyczną nadzieją. Wczesne wiersze, z powodu komunistycznego kontekstu, czytano głównie politycznie, choć wybitni krytycy [Stanisław Barańczak, Marian Stala, Tadeusz Nyczek, Marek Zaleski⁷] z mocą podkreślali, że jest to nieuzasadnione zawężenie znaczeń, ponieważ nicłość grożąca światu ma w poezji Polkowskiego charakter przede wszystkim egzystencjalny i metafizyczny, a dopiero wtórnie i nie zawsze – polityczny czy kulturowy.

7 Teksty zebrane w książce: *W mojej epoce już wymieram. Antologia szkiców o twórczości Jana Polkowskiego [1979–2017]*, red. J.M. Ruszar, I. Piskorska-Dobrzeńicka, JMR Trans-Atlanty, Instytut Myśli Józefa Tischnera, Kraków 2017.

Wawel i św. Jadwiga

Polkowski jest poetą katastrofy i wygląda na to, że nie znajdzie uznania albo po prostu znudzi wszystkich, którzy chcą tańczyć i śpiewać przy hipnotycznej muzyce. Myliłby się jednak ktoś, kto chciałby w tej poezji szukać pesymizmu. Nadzieja nie rzuca się w oczy, jest słaba i cicha jak ewangelia o przewadze rzeczywistości i Rzeczywistości, nic więc dziwnego, że często zagłusza ją zgiełk – symbol chaosu, nihilizmu i zagrożenia ze strony potęgi nicości. Ta nierówna walka toczy się w wielu utworach, a *explicit*e w *Niech przepadnie zgiełk* (wiersz napisany w 1984 roku znalazł się w tomie *Drzewa*, aby pojawić się ponownie jako otwarcie *Gorzkiej godziny* z roku 2015). „Wierność to długa opowieść” – tak rozpoczyna się poetyckie credo mówiące o nadziei, jaką daje uporczywa praca poety, aby zbrukanemu i zagrożonemu brudem świata przywrócić czystość i dobro za pomocą słowa.

Wiara w słowo, które w kilku wierszach posiada potęgę Logosu, jaką znamy z *Prologu* do czwartej Ewangelii, nigdy nie opuściła miękkich okładek kolejnych tomów Polkowskiego. A kiedy taka nadzieja wypowiedana jest w wierszu, którego akcja dzieje się w Krakowie, to pojawia się Wawel, a w nim główna bohaterka i najważniejsza patronka Polski: święta, która była królem. Taki właśnie obraz niesie opowieść o czasach w przeddzień zagłady, jak w wierszu *** *Kraków gawrony z wrzaskiem lecą na żer* [z tomu *Gorzka godzina*].

Kraków gawrony z wrzaskiem lecą na żer
w smrodzie spalin i ptasiego gówna
żarzy się wielojęzyczny gwar
drży dym hymnu *Haec est Regina virginum*
Trwa stara wojna
Nowa może wybuchnąć w sobotę
lub za chwilę
W gotyckiej mgle kwili katedra

Zygmunt milczy owinięty w poczerniałe bandaże
Jadwiga krząta się kroi cebulę i chleb
Odmawia wieczne odpoczywanie
do grobowców pakuje ciepłe buty
królewskie swetry
leśne kryjówki i pamięć
ciemny rytm wiślanych słów

Zagrozenie nicością i kruchość – najważniejsze cechy świata – wymagają codziennej krzątania św. Jadwigi, dobrodziejki królestwa, kościoła, miasta, uniwersytetu i biednych – o której Jan Paweł II powiedział, że wyróżniał ją „duch służby”. W cytowanym wierszu opieka świętej dotyczy czasów upadku i stąd *Hedvigis Dei gracia regina Poloniae* [Jadwiga z Bożej łaski królowa Polski] zachowuje się jak matka wyprawiająca synów do partyzantki lub więzienia. Wygłos wiersza podkreśla jednak wagę pokarmu duchowego: jest ona przede wszystkim kustoszem pamięci i języka. Urodzona na Węgrzech [i wyjątkowo starannie wykształcona królowa] była również sponsorką pierwszego przekładu *Psalmsów* na język polski.

Na początku była katedra jak złamane skrzydło – wiotka
i biała.

W niej pod czarnym krucyfiksem święta dziewica uczyła
kudłatego Litwina sylabizować: *Sanctus i Regis Poloniae*.

Po tym łacińskim trakcie drepczą pokolenia wielogłowego
miasta

co rośnie w zakolach rzeki wtulone pod pierś strzelistej
Jadwigi.

Widzę stojąc na Dworcu Głównym jak przejeżdżają:
Jan Kochanowski Piotr Skarga Jan z Kęt.

Nie ma torów – koła niespiesznie żłobią w miękkim kurzu
suche sentencje melodie psalmów żarliwe inwokacje.

Już od setek lat przejeżdżają między utrudzonymi kamieniami
godnego politowania życia słowiańskich mieszczan
których krew wymieszała się z krwią Czecha Żyda Ormianina
Niemca Rusina i Włocha.

Muszę zrozumieć – biorę w dłoń kamień po kamieniu:
piaskowiec
i wapień wapień i bazalt bazalt i piaskowiec i marmur i porfir.
Lepię z zimnej gliny szorstkie gotyckie cegły.

Mówię do moich synów: z potężnych żywiołów zbudowano
miasto:

- z bojaźni i uwielbienia Boga
- z zapobiegliwości i troski
- z ognia dumy i poniżenia.

Z inkunabułów mądrej cierpliwości wykuto jego kościoły:
Święty Andrzej – Białe Serce,
Święta Anna – Szary Ornat,
Święty Wojciech – Pięść z Bursztynu,
Święty Krzyż – Strzelisty Oddech.

Mówię do córek – z wielu kolorów utkano szatę dla jego ciała.
Z żółtego – obłoki i dachy.
Z cynobru – mgły i drzewa.
Ze szmaragdowej zieleni – wiślane barki i sny.
Z ultramaryny – opowieści.

Ale pytam: jak złączyć początek i sens honor i hańbę?
Gdzie słów jest śledziona i płuco płataniny ulic?

Tam gdzie *wąsik z pomadą, melonik na bakier*
i tombakowej brzękanie dewizki?

Tam gdzie strzała przecina przeźroczystą szyję
mariackiej wieży?

I krwawi?

I śpiewa?

W jednym wierszu zawiera się architektoniczno-intelektualno-etniczna topografia Krakowa. Najpierw trop topograficzno-architektoniczny: Wawel – katedra – Akademia Krakowska – kościół Mariacki, jak również materiały, z których je wzniesiono. Tak wygląda materia, a duch miasta? Najpierw ślad intelektualny: św. Jadwiga (ówczesna intelektualistka i odnowicielka uniwersytetu) oraz wybitni wychowankowie odnowionej przez nią uczelni: św. Jan z Kęt – Jan Kochanowski – ks. Piotr Skarga. Na koniec trop etniczno-mieszczkański: Polak – Czech – Niemiec – Rusin – Ormianin – Włoch – Żyd. Symboliczne ciągi – kościołów i krajobrazowego nastroju – dopełniają obrazu z użyciem barw wziętych z jesiennych pejzaży Wyspiańskiego. Oto miasto pełne chwały i hańby, bo przecież nie ze snu, lecz z ludzi i kamieni zostało zbudowane.

Poezja Jana Polkowskiego dowodzi pewnej symetrii. Kraków dał mu wszystko, co najlepsze w budowaniu jego tożsamości, i dlatego jest częścią jego pamięci. Poeta wziął tyle, ile zdołał udźwignąć. Lecz i on tutaj „częstkę swej duszy zostawił”.

Józef Maria Ruszar

Translated from Polish

Za trzydzieści lat za parę miesięcy za godzinę
ktoś będzie czytał nasze wiersze – otworzy
pachnącą farbą książkę zegnieną płachtą czasopisma
ukradkiem wyciągnie samizdat.

W jakiejś chwili w jakimś kraju ktoś odkopie
nasze zetłałe oddechy
jak ja gdy w chwili spokojnej czytam wiersze
pewnego Żyda żyjącego w Polsce
w latach 1921–1943.

1978

Katakumby

Kobieta idzie ulicą je rybę.
Chłód pierwszego dnia września
ostatnie krople deszczu
zapach ryby.
Kobieta daje dziewczynce białe pasmo
wędzonego mięsa.
Idą ulicą.
Rozmawiają jedzą rybę.

Nowa Huta, IX 1978

Strumień wieczności

Język rzeczy poezja czystych przedmiotów
bez cienia chęci by mówiąc „stół”
powiedzieć coś więcej.
Ale powiedzieć w sposób tak
przezroczysty by było widać
ten jedyny ciepły trochę kiwający się stół
obarczony zapachami dziecinnymi dotknięciami
zmarłych z jedną szufladą
podpartą wysuwającymi się wraz z nią nogami
by zobaczyć
stanie się poezji:
pierwszy obrót ziemi.

* * *

Ogień chodzi po tobie [dzień
coraz krótszy]
zapach sosen głóg owce obracają się
wokół czerwonego słońca.

Znowu wyłączono prąd ciemno
w starym drewnianym domu.
Lasy spacerują.
[Chłodne źródło miłości].
Ciała czekają.

Tak pachnie słowo zawsze.
Tak brzmi słowo nigdy.

* * *

Oddaję ci: żebro ręce nogi
myśli serca czyny
także nerki tysiącą głowę
oraz sklerozę – I sekretarza
mojego ciała.
Ci (się oddaję)
cały kobieto

a nareszcie (ciebie) oddaję
i wtedy widzisz – istniejesz
tylko we mnie.
Mną Anno: nie
ciałem.

Krwawiące piersi

Kobieta karmiąca. Ptaki. [Jesteś
głodny?]

Szara ławica miasto wozy powietrza
łopocą. [Jedź ziemió].

Połowa chleba dla mnie połowa dla was
śmiercionośne skrzydła.

Tak, jestem obcy

Na chwilę wstrzyma rękę kat
więzienia zmienią się w sanatoria
łagry w rezerваты przyrody
na chwilę przesuną się granice państw
narody wrócą nad znajome rzeki
miasta zmienią nazwy
konstytucje treść
ludzie nazwiska i twarze
języki poetów.

Na chwilę żołnierze wbiją lufy karabinów w ziemię
policjanci będą demonstrowali przeciwko przemocy
opadnie gaz łzawiący
podniesie się żelazna kurtyna
byś mógł spojrzeć przez mgnienie olśniewającej ciszy
na całe swoje życie
na swoje uczciwe krótkie życie długi
strzał
w tył głowy.

Chorał, wschód

Niekończący się śpiew mnichów.
Niekończący się świat krzyż
świata nagle opustoszały.

[Słucham głosu:
*zdejmij obuwie z nóg twoich
albowiem miejsce na którym stoisz
ziemią świętą jest*].

Alleluja bezbolesny
alleluja.

Wspomóż nas, Panie

Przemówił wtedy we wszystkich językach świata
(słowa wydawały się wszystkim znajome)
jednak tłok i wrzawa nie pozwoliły
nie tylko zapamiętać ale i zrozumieć
tej historii którą opowiadał.

Później każdy przypominał sobie coś innego
jakieś okruchy fragmenty:
*zwierzęta które odeszły z ziemi deptając
powierzchnię mórz ludy spożywające krę
kobiety z popiołem w piersiach jasne jabłonie
nad płonącym starcem
bóg umywający buty policjantom.*

Tymczasem ciemność obejmowała niebo
i ziemię.

Na opustoszałych stadionach
wiatr toczył butelki szamotał się
z nadpalonymi gazetami.

* * *

Odwiedzają mnie czasami:
pierwszy przychodzi Wat otulony
w gruby płaszcz tam w niebie zimno
– mówi i rozciera schorowane ciało.
Wchodzi Wierzyński milkniemy
w jego książęcych oczach tli się
dumna rozpacz wysokie łąki
Rusi Karpackiej w fioletowych ornatach
Stryj ranny ryś pył latawców.
Szabli krzyczy Lechoń szabli pokażę
tym chamom. Długo go trzeba uspokajać
i tłumaczyć wszystko od początku.
Później przychodzi Wittlin
i ci z głębi czasu wypełnieni
niezniszczalną wiarą.
Siedzimy gadamy pijemy wódkę
nawet śpiewamy trochę.
No dobrze powiadam
ale mówcie panowie co słychać
w Polsce?

W okopach kościoła Niepokalanego Poczęcia

Modliliśmy się dzisiaj za tych
którzy zginęli za ojczyznę.
Kościół wypełniały kobiety i starzy mężczyźni.
Czyżby młodzi już byli na froncie?
Ginęli w tej chwili?

Obok mnie młoda kobieta w ciąży
szepotała modlitwę bezwiednie osłaniając brzuch.
[Mówiłem do ciebie] niech śpiących w jej brzuchu
żołnierzy nie dosięgnie włócznie
tej modlitwy.

XII 1980

„Snuć miłość”

Jak to się dzieje?

Starość
ogromne życie zlewające się w źródło
przemijającej wieczności

lęk przed śmiercią

jak to się dzieje
że martwi poeci
odchodząc od żywych
zmartwychwstają w nowo rozpoznanym
języku

kiedyś byli futurystami
komunistami narodowcami
krzyczeli

szeptali
o końcu świata
o świetliście-różowych piersiach
Maryli

po latach okrzyków i milczenia
po wojnach
po śmierci

po drewnianej twarzy Boga
przechodzi uśmiech
kondukt z białą chorągwią
ciężarnej dziewczyny
drżąca dłoń poety
podobna do twarzy dziecka
gdy śmieje się i gaworzy niezrozumiale
dobroć dobroć
miłość

* * *

Świat to tylko powietrze
światliste sykie przezroczyste rzeczy
łopoczący oddech przez który widzę
czas.

I bardziej materialna jest myśl
(o śladach na śniegu zapachu
zgniecionej trawy liściu uwięzionym
w pięści wiatru).

Bardziej dotykalne jest bezdźwięczne słowo
niż drewno mur ciało – niewidoczne
świadectwo raj.

„Sław'sia, Ojczyzna nasza swobodnoje...”

Piosenka o poecie

Mówisz do mnie przez łany słów
ziemię odległą nie przekłutą wzrokiem
krwawiących wron nad murem głuchych chmur
mówisz i słyszysz: ból za Azji krokiem.

W chorale jasnych godzin w bezdrożach salw
bielszych od skóry nie dotkniętej mrozem
nie widać kresu kreski stóp tak wiotkie
idą etapem na wschód twoich warg.

I słów już żadnych wymówić nie sposób
ni ich obarczyć żywym tchnieniem rymu
na ludzkich śladach leży kilka zgłosek
kapo je spieszenie ustawia do hymnu.

Czy narodziłeś się, człowieku

10 stycznia 1953 roku miałeś przed sobą
jeszcze trzy miesiące życia.
Beria siedział przy łóżku trzymał cię
za rękę czuł pod palcami chwiejny zmęczony
puls życia
milionów zamęczonych.

Obaj byliśmy bezradni
ja nowo narodzone dziecko
i ty jak nowo narodzone dziecko.

Obaj nieświadomie lub tylko sobie wiadomymi
ścieżkami podążaliśmy niezmordowanie
ku śmierci patrząc sobie w oczy
zrośnięci stopami wygnanych i obcymi
językami (może mówiłeś coś
do mnie prosiłeś
o przebaczenie?)

„Nie znam tego człowieka”

Wyraźnie słyszę pianie koguta
nie przestyszałem się
w środku betonowego ogrodu pieje
niewidoczny dla mnie.
Zapisuję to zastygam nasłuchuję
lecz ktoś moją ręką pisze dalej:
Nie zaparłeś się mnie Galilejczyku?
[Boisz się?]

Przy ogniu

Proste przypowieści
ilustrują jeszcze prostsze życie.
Opowiadanie w którym występujesz jako owca
ręka wino znak wypalony na czole lub drzwiach
skazanych.
Opowieść w której podstępnie zabijasz brata.
Los i słowo tak krótkie.
Czyny jak gałęzie słowa jak ogień.
Spazm i śmiech.

Oto kobieta i twój syn
siedząc w kucki przy ognisku opowiadasz
o świecie
w narzeczu zagłady.

Plecami do światła

(rzeko) gdyby Bach
był poetą czytałoby go dzisiaj
kilku filologów.
Gdyby użył *wiecznego słowa*
już by nie żył.

* * *

Przykryty chorobą
leżę przy tobie.
Ty woda woda ciemno ty – dach
dom.
Kim jest kurz szept papier strach?
Świat?
My?
[Nieistniejący?]

* * *

Nie było nic – oto co było (oderwany
od siebie) wymawiałem słowa stare
jak rysunki w jaskini w Lascaux
Czarny byk Czerwony jeleni Żółty koń.

Pozostało niejasne co oznaczają:
sytość i opuszczenie?
bezpieczeństwo i bezdomność?
władanie i poniżenie?

Co oznacza wzniesiona pięść przeciągły okrzyk
przecinające się linie na kamieniu ziemi drzewie?

Byłem jak inni ale nie odkryło się przede mną
to o czym opowiadają drzewa
przyrastając stój po stoju.
Nie odkryła się jasność
(losu).

W ciemności jaskini światła tańczące dzieci i trawy
wystawiały tajemnicę.
W radości światła rozkołysały się ramiona zadrzały wargi
(zza ściany ognia rozległ się śpiew chasydów:
myt symche tomir in dinen) w radości
służymy Mu.

* * *

Kim bowiem byłem jeśli nie jednym ze słów
Boga wypowiedzianym gdy czuł
zbliżającą się (ludzką) śmierć.

Kim jestem jeśli stwarzają mnie
uszy oprawców przerażonych uczniów
i bezwolnego w swej nienawiści tłumu.
[Pożoga jej gorzki język].

Powtarzaj za Nim:

*Oto bowiem przyjdą dni kiedy mówić będą:
„szczęśliwe niepełodne łona które nie rodziły
i piersi które nie karmiły”.*

*Wtedy zaczną wołać do gór: „Padnijcie na nas”
a do pagórków: „przykryjcie nas!”*

* * *

Bolałem nad sobą to znaczy
szukałem sławy wśród maluczkich.

Jakie było moje zadanie: skazańcowi szklanka rumu
nierządnicy biała szata umarłemu przyjaźń?

Pocieszenie ucieczka i nic nic więcej?

Wyszukiwałem słowa jakby którekolwiek z nich
nie zawierało w sobie wszystkich pozostałych.

Spójrz w zorzy witraży
możesz dotknąć promieni które przeszły przez wiotką
szyję Opłakującej.

Mogą cię ukoić opłakać nieukozone kolory.

[Przestać nazywać oddać się światłu].

Niech przypadnie zgiełk

Wierność to długa opowieść
nim spłoną biblioteki tylko jedno słowo
zanim wysiedlą wioskę dopiero początek myśli
[ogień szybko szepce] zanim spalą się kufry zdjęcia
krewnych sukienki i buciki – dopiero otwarcie ust.

Muszą nienarodzone dzieci zapomnieć rodzinnej mowy
musi popiół uchwalić nową nazwę miasta
musi rdza ułożyć odświętny hymn dla ludu
donosiciel i pajęczyna zasiąść do stołu
objąć lepkimi wargami kielichy i chleb.

Dopiero wtedy słowa powoli wędrują
odnajdują mozolnie wychudłe zwierzęta
ocierają się w ciszy o kalekich ludzi.

Europa

(Jan Sebastian Bach na przykład *Es ist das Heil uns kommen her*
lub *Ich ruf zu dir Herr Jesu Christ*) Cóż zdoła
nas poróżnić jeśli to nas łączy?
Bezskrzydłe obłoki prowadzą wszystkich pozostałych
podniebnym gościńcem w barokowe ulice ponad horyzontem.

Tylko nas pozostawiłeś na ziemi?
Czy nasze ręce będą posłuszne Twoim preludium i fugom
będą uprawiać ziemię budować dom hodować bydło i drób
byś widział że są dobre?
Czy to Bóg wybrał tę muzykę by odnowić raj?

Ale jesteśmy śmiertelni i ponad wszystko śmiertelni
organy modlą się za nas
a my stoimy na wyschniętej równinie w sołdackich szynelach
a wokół wszy i żelastwo.

Bowiem potrafimy tylko litować się nad sobą
owinąć w strach i zasnąć
odruchowo ośnaniając głowę i brzuch
jakby tam był Weimar klawiatura Silbermanna
i uderzające w nią
nieśmiertelne palce.

„Noli me tangere”

Gest jońskiej kolumny przywracający Ci twarz
gest smukłego ognia oddający Ci strona po stronie
księgę pokoleń.

Owal marmurowej piersi i owal brzemiennego brzucha więźniarki
obdarowujący Cię kamiennym alfabetem ludzkości.

Niedotykalna biel koszuli jeńca (*Goya 3 maja 1808 rozstrzelanie
powstańców madryckich*) ubierająca świat w fontanny kolorów
ciemny śpiew psalmisty ulotny smak dystychu
niezniszczalna klinga rozcinająca Cię na dobro
i zło.

* * *

Jakież to było piękne
kiedy cię dotykałem mały kawałku drewna
kiedyś rósł w mych oczach klonie
kiedy pękał obłok i nurt strumienia płynął przez palce.

Godzino dzbana godzino słonej skóry
godzino ciągnących w tłoku owiec.
Godzino płamy słonecznej wędrującej po oknach
i dachach.
Napełniłaś mnie nasyciłaś?
Przebita ręko błogostaw
spalonej księdze.

Pragnąłem cię, chociaż byłem śmiertelny

Biała rybo listopada [już zasypia
to miasto].

Prochy królów dymy kamienne maski żebraków
i szpicli [zasypia już głodujący
czas].

Tylko wiatr ocalał tylko odarty z kory
pień wiatru
śpiewaj [o śpiewaj
ucieczko].

* * *

Ty jesteś szarość nad szarościami
zawodzenie kobiet
obmywających [Twoje] ciało.

Ocet woda smród
Lacrima Christi.
Cieniu
Perła Bolesna
zamknięta w martwej macicy Europy
[ocal].

Zmierzch

Październik Miles Davis – *Lonely Fire*

łagodna mgła miłosna ciepła.

Czy wiele przeżyliśmy?

Pewnie niewiele skoro nie pragniemy już niczego.

W tym dniu żółknących kasztanowców czerniejących jesionów
bolesnego słońca poeci niewolnicy będą nadal twierdzić
że nie są działaczami politycznymi
więźniowie polityczni że nie chcą być niewolnikami
a mordercy że są zesłani przez Opatrzność.

Zamknij oczy.

[Dotkniemy swoich rąk jasnym gestem popiołu].

Te przekłete słowa

to tylko frazy twojej pieśni to tylko poszukujący doskonałej

ciemności [samotny

ogień].

„Co nie jest wymówione, zmierza do nieistnienia”. Czesław Miłosz

Bawiliście się poeci zapominając że z czułością
i bólem trzeba stwarzać świat.
Wydawało się wam że żony dzieci krewni ziemia uprawna
urzędy państwowe usprawiedliwiają wasze bezpłodne
pióra.
I czy w końcu oddzielił ktoś ciemność przedmiotów
od jasności słów?
Czy znalazł się nieczuły na żłudny obraz królestw
by wybrać wieczyste istnienie świetlistego dystychu?

[Przemów księgo].

Po ciężkiej wędrówce dnia jeszcze jeden wiersz:

chleb ser woda kobieta.

Uczynione zostało.

[Wyblakło słońce i weszło w oddzielone od lądu
morza].

Nieprzeniknione (Pablo Picasso okres niebieski i różowy)

Święty Marku użycz mi pióra by opisać to wzgórze
złamane snem brązy róż i błękit. *Pławienie koni*
za grubym szkłem spękanego czasu.
Widzę na tej ziemi o wszystkich odcieniach bieli
jak tańczy *Akrobatka na kuli Chłopiec prowadzi konia*
i nieruchomo falują sylwetki psów i gołębi.
Padają słowa? Hiszpańskie? Hebrajskie?
Francuskie?
To tylko ciżba wzgardzonych kolorów
to tylko tumult zbuntowanych barw.

Bowiem *Kobieta z wachlarzem* daje znak by zaczynać
i dzieje się niewypowiedziany początek:
pobielate kolory opływają nagiego arlekina
główkę dzieciątka obrysowują kobiece
światło.

To było także tam: *Jan nosił odzienie z sierści*
wielbłądziej i pas skórzany około bioder.
Żył tam wśród zwierząt aniołowie zaś
usługiwali Mu.

* * *

Nie ma ich jeszcze – kolory dopiero powstaną.
Zanurzy się Krzyż Południa i wypłyną: szarości purpura
złoto siwe buki w fioletowej poświacie nieruchome jodły
w nakrochmalonych komżach
bezbronna czerwona sosna
czarna olsza spopieląta od mrozu.

[Nie przeminiecie drzewa lecz ja przeminąłem].

Obok góra cierpliwie szepce łacińską modlitwę.

[Och żyć żyć nie pragnąc]
żyć.

Miłości, miłości najboleśniej śpiewaj

Jakże szczodrobliva dłoń przyniosła nam
światło wyjęta kamień z wody
i położyła go na brzegu.

I po wielkroć łaskawy nieśmiertelny ból
wysoko w niebiesiech Ptasi Opiekun otoczył nas
dobrymi duchami łakami i mgłą.

Lecz nic co łagodne nie ujdzie ciemności.
Więc wokół człekokształtne cienie diabła
podstępem i zdradą
niszczą nam dom zatruwają studnię porywają dzieciątko.

Byłem bowiem jak kamień i woda
na twoich ustach i piersiach – poitem cię
i zabijałem.

Rzekł mężczyzna: rozpal ogień.
Odpowiedziała kobieta: podaj dłoń.

* * *

Za dużo chciłyście powiedzieć płowe słowa
I śmieszna jest wasza chełpliwa nadzieja że gramatyka sprostą
śmierci.

Cóż nawet jeśli byłem waszym zakładnikiem
nikogo nie obchodzi czy okazałem się wierny czy uległem.

Ale oto żyję i niespokojna powierzchnia rajskich owoców
pulsuje pod moimi palcami.

I ja oraz moi stronnicy: czarna woda krucha trawa słodki wiatr
oddalamy się by w ciżbie odnaleźć źródło
z którego nie piją mrówki liter.

O marne wasze papierowe zaklęcia na które patrzę
nieogarnione białą tęczą słów
oddech i ogień.

* * *

Jestem tu między wami skrzydlate pagórki.
Kołując krzycząc wraca do gniazda rodzina jastrzębi.
[Bezpowrotnie niewierny sobie] smakuję rozliczne kolory
goryczy.

Tak moi Panowie Jaśnie Wielmożne Buki
Wielce Szacowne Dęby o profilu Hermesa napinającego łuk
Modrzewie o głowach Gryfa Wilczycy i Śmierci
wiotkie Graby o kształtach amfory
Klony w skórze Minotaura
Świerki z gotyckiej cegły
Siostry Ruryka Brzozy – to tylko mgnienie dla was

to tylko krótki sezon [ukrzyżowani niewolnicy oślepieni piewcy
kolorowej Bogarodzicy zmarznięte narody
wypalone narody].

[Obejmij nas korzeniami Panie
szumem szybujących gałęzi].

* * *

Dobrze jest jeśli jest to co istnieć nie zdołało:
lipa do ostatniej chwili usiłująca kwitnąć
dom pragnący przedłużyć męską linię rodu
miasto zachować pod trawą chociaż fundamenty.

Dobrze jest jeśli jest żyzny korzeń kraju
z którego w łagodniejszym klimacie rosną gałęzie
wszelakich sztuk.

Dobrze jest czuć pod opuszkami oceanu słodki i nieskończony
haft ukraińskiej kołysanki nuconej przez wniebowziętą już nianię.

Dobrze jest także jeśli płonie siedmioramienny ogień tańczących
chałatów
zaśpiew popa i rzeczowa niemiecka modlitwa.

Dobrze jest mieć groby dziwacznym rówieśników czcić ich na
falujących
ołtarzach powietrza.

Dobrze jest mieć zamiast życiorysu metaforę jako dom dla
zmysłów
szukających granicy słów w języku dzieciństwa.

Dobrze jest wreszcie mieć pod kartką stół który mógłby mieć
twarz
słowackiego Boga zamkniętego w kościele twarz schwytych
w kocioł połonin

twarz kapłana który zbawił Chrystusa mógłby być zbity
z donosów zdrady
nadpalonych portretów Marksa godnej politowania szlachetności
mógłby być ponemiecki pożydowski popolski – ale jest drewniany.

Sadzenie drzew

Sadzenie drzew czy nie jest przyzywaniem śmierci?
Możesz moja ręko kwitnąć i owocować
bez utraty pamięci?

Nadszedł mój czas – mówi młody dąb
bo człowiek zatrzymał się przy nim.

Postuchaj gliniary ogniu umrzesz
zanim on zrzuci swe pierwsze żółędzie.

Carskie wrota

*Pamięci Anatolija Marczenki
zmarłego w więzieniu w Czystopolu*

Czystopol Czystopol Czyste Słowo
Boże Pole i Obietnica zamknięta figura losu.
Któż inny śmiałby wymówić spierzchłymi wargami ten suchy
wiatr
śnieżny dół chorągwie drutów.

Mówią usta z popiołu mówi serce z wapna mówi glina z głodu.
Jasny Bezkresny zapomnij o nas.
Przejrzysty Nieogarniony dotknij nas. *Spasi.*
Pamiłuj.

[Skowycz Rusi]

Oto zeszli z pohańbionych ścian soborów i niosą w kielichach
liturgicznych:
swiatyj Siergiej Rodonieźskij z przestrzeloną potylicą – cynober
purpurę
i róż
zagłodzeni *Kosma Damian* i *Jakow brat bożij* – żółć zielenie lazur
błękit
nadzy zamarznięci *Borys* i *Gleb* – biel i biel i biel we wszystkich
jej wcieleniach
załuczona pałkami *swiataja Paraskiewa Piatnica* – czernń
bezimienny bezustny *Nikt* – pędzle.

I doczesne członki Rosji pokrywa całun z jajecznych temper.
Teofan Grek maluje twarz więc znika Moskwa i Smoleńsk.
Andriej Rublow nasycza farbą stopy i dłonie niknie pod nimi
Workuta

Archangielsk Woroneż.

Więzienny drelich oddaje pędzel *Dionisija* – i nie ma już Tomska
i Nowosybirsk.

Kuje Wołga srebrne i złote blachy na swoją zgubę.

I są już tylko umęczone kolory miliony istnień rozpuszczone
w białku

nieistniejące ciało namalowane na sosnowej desce
przygniatające Imperium.

Kopcą świece.

Aniołowie wkładają żałobne pióra.

Alleluja Rosjo alleluja
śmierci.

* * *

Zaistnieć to znaczy opisać tę lukę w pamięci? Wieczność stawania się? Chwilę pierwszego słońca? Gdy Ona *Czytająca list* lub *Ważąca perły* trwała w skupieniu wchodziła w siebie by mnie ukształtować?

Dziękuję Ci mleczny bracie Vermeerze van Delft to Ty sprawiłeś że moja matka w holenderskim czepku i żółtym kaftanie w perłowym świetle kutego okna ufnie czekała na połów.

Ja zaś byłem arką w bursztynie jej wód
Gołębiem i gołębicą żeńskością i męskością niewinnego świata.
Chciałem przenieść w sobie więcej niż każdemu dane
a szczególnie sposób w jaki świat fragment po fragmencie
upodobnia się do Twoich obrazów.

Lecz które dzieło ludzkie samo siebie objaśnia?
Niktę więc miałem szansę by zrozumieć siebie.
Słuchając mojej historii stworzenia zapamiętajcie
że i ja chciałem ocaleć.

Tak wtedy w ciałku zwinitym w żaglu macicy
dokonała się synteza: widziałem jak rośnie fuga
słyszałem ochrę i biel dotykałem mgły słów.

A Ty niosłaś mnie lekką stopą przez suchy ocean
zatrzymując mnie w sobie aż do zmartwychwstania.

„Aby się wypełniło Pismo, rzekł: Pragnę”

Błądząc kamieniejąc. [Ale zdarzy się że wystucham
ostatnich słów Haydna: usłyszę Cię Boże].

Dziecko nuci szuka melodii milknie słucha
własnego serca.

Ale zdarzyło się że zobaczyłem jak nikt nie rozsypany się
jak połyka Cię wiatr. Wypełniasz swoją przeszłością
i przyszłością
odpychające Cię godziny.

[Milcząc błądząc].

Gdy on w jasnowidzącym oratorium unicestwia
[śmierć].

* * *

Nie mój – ten czas. [Upadłem].
Za stołem wydrwieni uciekinierzy.
Ziarno spoczywa nie wschodzi nie dojrzewa.

Owoc ognia nad Twoją głową Królu.
Nad Twoim łanem córa dymu Siewco.

* * *

Po wielokroć odkupiona a jednak ominęło cię światło.
I tylko dotykiem mogę szukać twoich kształtów
bezwiezdna mowo:
kłaść się na kamieniach strumieni ocierać o korę klonu
układać na powiekach glinę na język sypać pióra i piach
przeprowadzać troskliwie promienie przez usta Judasza.

Byłem wolny?
Lecz czy wyzwoliłem choć jedno słowo ślad losu cień gestu
by trwały w nieprzeniknionym świetle końca?

Kłamałem?
Nie zawładnąłem żadną rzeczą.
Dumny pożądałem choć myślałem że odrzucam
i czekała mnie nagroda:
przekleństwo i zapomnienie.

* * *

Mówi cię między rzeczami: kto jest w tobie
mój synu?

Gdy dotykasz drzew – ogrodnik czy ogień
gdy zabijasz – kapłan czy kat?

Mówi ten który nie mówi
Nie wysłuchany błogostawi kamieniom.

* * *

We śnie trzymałem w dłoniach szarpiącą się rybę
o kształtach tak doskonałych że przestawała istnieć
lub oblekała się w inne życie: kolumnę jońską liść
oddech brzemienną ułomek chleba.

Pieściłem cię obietnico narodzin.

Wędrowałem nie odchodząc.
Położyłem się na wznak by śledzić
najwyższe i najmniejsze z Twoich uczynków.

* * *

Dla B.

Przez chwilę: światło stuletniej jodły.
Wyrwij skrzydła z piachu
Kamienna Królowo
córeczko.

* * *

W ciemności – wiatr. W pustej łodzi
On – wiatr. Spowiada zapomina.
Ten który prowadzi pieśń
milknie.

* * *

Pełen gracji panieński taniec
smukłych brzoź. W miastach trwoga
głód i zamieszki.

* * *

Noc Złota dolina.
Potężni potrząsają dzwoneczkami.
Moja wina nie umiem
milczeć.

* * *

Ciemny kielich stoku Machulca
cierpliwie układany przez wiatr posąg
umarłego dnia? Przeznaczenia? Dziecka
palącego po mnie papiery?

Pochyl głowę biedna ziemi
kłaniajcie się dzwony.

* * *

W deszczu. Strzęp ziemi
dryfuje tonie. Ojczyzno
Kropło.

Rzeka

Jestem młodszy o ponad pół wieku
łowią patykami ryby w młynówce.
Jednak zanadto się przechyliłam i po chwili chybotając się
płynę i bulgocę jak wrzucona do wody pusta butelka.
Tę krótką podróż przerywa mama która krzycząc z przerażenia
wyciąga mnie na brzeg.
Budzę się później w domu i ostrożnie dotykam siebie.
Istnieję – znajduję kawałek wierzbowego tyka
przyklepiony mocno do skóry.
Kim jestem czy kim się staję gdy go odlepiam?
Tym który tonie i który śpi? Tym który umiera i budzi się?
Tym który widzi i tym który rozpacza?
Leżę nowo narodzony w nakrochmalonej pościeli i dotykam
zamkniętej w suchym kawałku kory przeszłości i przyszłości.
Po raz pierwszy odkrywam urywany puls wewnętrznej
ciemności i czuję słodki smak
wszechświata.

* * *

Dziewanna nawłóć wrotycz
w przejrzystym cieniu sierpnia
odurzający aromat dojrzewającej ciemności
duszny zapach pękających kolorów
i bliskiego niemal widocznego
końca.

Marzenia i pragnienia krążą chaotycznie
jak ćmy zaplątane w siebie zrezygnowane
obumierające bez walki i świadków.
Czas jest jak wspomnienie z dzieciennych podróży
zbyt zamazane i niepewne by w nim odkryć
utajone życie niespełnionych zdarzeń.

Roztargnienie zastępuje nadzieję
na powrót rozbitków zapomnianych krewnych
wspólne śpiewanie pieśni
i pieśczętę łopocących chłodnych żagli.

*Jadło sprzed kuchennego okna
miałaś zaledwie tyle lat co moja córka
a umartaś.*

Złote bóstwo sierpnia
odbiera hołdy na dymnych ołtarzach.

Wewnętrzne światło drzew
wciela się w niespokojny piaskowiec
w ślady jeszcze ciepłej
zmęczonej śmiertelnie ziemi.

Trwa skulona rzeka nad nią cienie cichych ptaków.
Niebieski kurz mrowi się pod bosymi stopami
tych których kochałem? Kocham? Muszę

kochać? Mógłbym
uratować?
Ołowiana mgła pije różową krew doliny
powstrzymuje narastającą panikę wśród ludzi i zwierząt.
Ich skłębiony tłum jak przerażone pszczoły
oblepia widnokraż aż po kres światła.
Blaknie bliskie niebo odlatuje oddech słowa.
I nadchodzi czas by gasić ogień.
Nadchodzi czas by służyć cudzym ustom.

Mniej światła

To o czym zapomniałem minuta po minucie od dnia narodzin
co bezpowrotnie wygasa
to czego w sobie nie zrozumiałem czego o sobie nadal nie wiem –
może żyć w cieniach
wędrujących przez inne czaszki? Serca spojrzenia?
Przepływać przez moje dzieci? Wnuki?
Odnajdować się w przypadkowych ludziach? Fragmentach
przyszłych zdarzeń strzępach nienarodzonych gestów?

Im bardziej zbliżam się do śmierci
tym mniej wyraźnie słyszę siebie
gubię swój ślad.
Cudze głosy mówią we mnie splatają się cudze linie życia
obce źrenice widzą blaknące obrazy:

mężczyzna stoi przed gankiem i wyciąga ręce – nie widać
do kogo bo sepia wyblakła i dłonie zawisły w białej pustce.
W miejscu mojej (?) twarzy zapewne wsiąknęła w papier kropla
i utworzyła mapę nieznaną okolic. Z rysunku poziomic
i meandrów plam może wynikać że teren jest górzysty
i pokryty lasem.
Parującym po deszczu?
Płowiejącym w październikowym słońcu?

Wciągam głębiej w płuca cierpki zapach jodłowego igliwia
i butwiejącej ściółki.
Idę na północ i południe na zachód i wschód.
Pod stopami ślad obcego cienia.

Podróż do Święcian

Jest godzina, która z prochu tworzy twój orszak
Paul Celan

W podróży. Zmierzch. Za oknami gasnące pochodnie Podlasia
strzępy ukrywanej przez lata opowieści smuga gorzkiego
zapachu

brzóz. Wieże odległych katedr zrzucają płaszcz ptasiej mgły
i ludzkich zdrad. Tęsknić żeby mniej bolało. Pielęgnować ból
by świeciła pamięć i czekać.

Czekałem długo wędrując przez czyściec labiryntu

Das Wohltemperierte Klavier.

Nierozplątany węzeł pokoleń rozwiązuje się
tak jak otwiera o świcie okno i rozpala ogień. Życie ofiarowane
tak lekko jak bibelot w przeddzień balu. Jesteś przy mnie
choć twoje miejsce jest puste. Wstałaś by wyprawić
dzieci na wojnę. Ty i Nikt ze mną na zawsze
jak dzień na który zabrakło
życia.

Wilno i dalej na północ. Uderza w twarz ssący smak soli niepokój
wschodni jałowy wiatr. Z bezwzględną siłą beznamiętnie
rozwiewa

popiół równin i wycieńczonych lasów. W prowincji niepamięci
przed święciańskim cmentarzem stoi szesnastoletni ojciec
jego prześwietlony słońcem cień jak sierocy strzęp piasku
odepchnięty przez mapy.

Umarł diabelski wiek. Nie będzie zadośćuczynienia. Pokolenia
przesypują się przez dłonie kapłanów
nicości przez nasiąkniętą śmiercią

klawiaturę Bacha.

Żaden alfabet nie ma w sobie dość sił by przebaczać.

Inaczej niż pięciolinie i niepodległe

nuty.

W drodze. Przez niewinny zmierzch. Z Ojczyzny do Ojczyzny
z nieistnienia w niemy szept drutów i listów zbezczeszczonych
przez zmęczonego cenzora. Z wagonów towarowych do cudzych
miast z piasków Kazachstanu pod czyste niebo Palestyny
z obczyzny donikąd. Ze świętych miejsc do świętych ksiązek.

Majestatycznie w blasku złotych trąbek z feretronami
z podniesionymi sztandarami

lecą żurawie.

Milczą obłoki.

Lecą żurawie.

Pragnienie

Chyli się dzień. W ogrodzie wyłamuję przemarznięte
pędy żylistka a żona wrzuca je do ognia.
Niskie słońce przenika kwaśny dym i czeka
aż wszystko opowiem.

Ziemia obejmuje ogień i płynie przez kosmos.
Zamarzają i wysychają morza lasy przeistaczają się
w bursztyn i węgiel. Zimne twarze z onyksu i kwarcu
układają się do snu.

Splatają się: słone powietrze szorstka rosa
i chłodne dłonie.
Purpurowa strona światła rozpala się
i gaśnie.
Kos odzywa się z innego świata.
Już nic. [Nie odwracaj się].

Cantus

Sezony. Przeźrocyste słodko-słone od młodej krwi
trwające bez końca zimy i rozświetlone oszałamiające
czerwcowe wieczory zapach posypanych makiem bułek
z piekarni na Kocmyrzowskiej anielska polichromia głosu
dochodzącego zza ściany dzieciennego pokoju.
Dzień po dniu lekko obracające się planety
losu.

Najgłębiej tkwi milczenie.
Teraz wiem że zamykała w nim
ból. Ta niepokojąco obca cisza
zielone skośne oczy i kości policzkowe
ginące w zaokrąglającej się z latami twarzy
mogły być echem surowych stepów wędrujących
przez jej krew i płaskie nieodgadnione twarze tatarskich
jeńców osiedlonych w podgrodziu Częstochowy w XIV wieku.

Jej układające się w loki brązowe włosy wyprostowały się
gdy zaczęły siwieć i gdy ja dorosłem.

W szkolnych zeszytach zapisywała dziesiątki cytatów
jakby chciała odgrodzić się od zdrady wspólności
utworzyć wokół siebie welon utkany ze skrawków mapy
obiecanej podróży.
Czy szukała w tych słowach siebie innej
prawdziwszej? Czy przeciwnie zanurzona bez reszty w sobie
smakowała siłę zadziwiającej urody ludzkich
pragnień?

Czy w tych zeszytach w kratkę pełnych słów zapisanych
równym zdecydowanym pismem zamknięte było
niewystłowione niespełnienie?

W końcu lat 70. XX wieku swoim synom i mężowi powiedziała
z uśmiechem (którego ślad szybko zginął) o swoim podziwie
dla dwóch obcych mężczyzn: Karola Wojtyły
i Andrzeja Łapickiego. Nie byłem już dzieckiem;
Nie rozumiałem?

Matka Boska Częstochowska (spędziła z nią młode lata
pod Jasną Górą) była najprawdopodobniej jej stryjenką
lub obok Babci Broni ukochaną ciotką.

Bieda umierający na raka ojciec wojna i niemiecka okupacja.
Wreszcie przesypujące się przez spierzchnięte dłonie
dziesiątki lat znieczulającego upokorzenia którym imperium
o nazwie niewartej zapamiętania sowicie raczyło podbitych.

Dojrzał czas i planety niezauważalnie otarły się
o marność rzeczy.

Patrzę na należące do niej drobne przedmioty
skrupulatnie opisane odręcznymi uwagami – medalik
korale broszka książeczka Tomasza z Kempis.
Czy to jej czułość i oddanie zrodziły we mnie niecierpliwość
i nieustępliwą dumę?

Mówić i być
rozumianym.

Przecież rozmawiam już tylko z Tobą

Mamo.

Co mogę opowiedzieć o świecie jeśli nie gram
nawet najmniejszej roli

w Twoich dziecięcych snach nie dzielę Twojej trzyletniej
miłości do plastikowej lalki krakowianki i lęku siedemnastolatki
przed przybyłymi na kwaterę krasnoarmiejcami.
Nie wpinam Ci we włosy białej róży byś mogła w 1950 roku
powiedzieć tak
repatriantowi z uralskich lasów.

Wypełniam swój los
choć nie jesteśmy już sobie
przeznaczeni.

Pomieszane języki

Pomieszane języki ukraiński polski i rosyjski.

Modlitwa powszechna po polsku psalm po ukraińsku

i w rosyjskim credo. Rudy chłopiec paulin

z iskrami radości w rozpalonych otwierającym się życiem

oczach wznosi ramiona ku górze

w niedawnym muzeum ateizmu.

Na początku XXI wieku Kamieniec Podolski odpoczywa

otulony wapiennym poszarzałym kamieniem i niebem

o przejrzystej tokańskiej barwie. Leniwy rozgrzany żywym

światłem Smotrycz już nie chce płynąć ku Dniestrowi

trwa jak zielonkawy obłok nad szukającą cienia

klaczą i źrebięciem.

Biedni ludzie jedzą słodką bułkę przy długim stole.

Między nimi na honorowym miejscu

ich przeszłe dni których nie chcą pamiętać.

Biedni ludzie i ich zamyślane dzieci o dorosłych twarzach.

Prosili dzisiaj o wiele. O zdrowie dla Józefy

szczęście dla Ireny i Hryhorija

i powrót Francji Pierwszej Córy

do Rzymskiej Matki. Przed pożegnaniem dziękują

za wspólny śpiew pieczołowicie sprzątają okruszyny.

Głos

Zza fali snu dociera do mnie głos mamy.
Przez chwilę waham się
uciec w sen czy przygarnąć świat
i słuchać szemrzącej rozmowy której sensu
nie mogę i nie chcę rozumieć.
Nie wiem kim jestem ile mam lat czy istnieje przyszłość
ciemność i obietnica początek i nagroda.
Nie jestem pewien czy żyję
jestem szczęśliwy.

„Ain”

Brukarz i różdżkarz Emil około siedemdziesięcioletni
o młodej twarzy szuka żył wodnych na północnej części
kuli ziemskiej pod ciężką gliną zbcza cętkowanego szarym
twardym śniegiem.

*Grący wiatr przemierza rdzawe pustkowia Synaju i Negev
zbiera sól pod powiekami i w sercu.
Szuka źródła ukojenia drogi do Jerozolimy.*

Buki na wzgórzach wczepione w niebo piją ale łakną
coraz bardziej. Podrywa się myszołów i sunie bezszelestnie
nisko tuż nad oddechem umarłych traw. Światło
nieruchomieje. Kamienie i deszcz razem splątane
w jeden ołówkowy blaknący szkic.

*Smukli Etiopczycy modlą się w Bazylice Grobu Chrystusa.
W Koptyjskiej Kaplicy nieoświetlonej przypominającej
jaskinię ich białe zawoje świecą
jak język gotębicy.*

Chłodny deszcz ścieka do ust pragnie ciepła oliwnego ognia.
Odszedł dzień i noc tkliwie opada na osierocone pagórki.
W ciemności na osłep wymacuję drzwi do domu.
Przez chwilę czuję że rozptywam się w niedotykalnej
nieogarnionej przestrzeni przestaję
istnieć. Niżej w podziemiach rozkwita woda
obmywa skałom stopy drąży
tęczowe korytarze.

„Juglans regia”

Powiniem umieć powiedzieć: moja wina.
Dlaczego nie dzisiaj, jeśli nie w jakimkolwiek innym momencie
minionych dziesiątków lat, gdy stoję pod opiekuńczymi
skrzydłami
królewskiego orzecha i patrzę na ciebie. Obłoki układają na niebie
mozaikę ze wszystkich odcieni bieli
i cienia muskającego twoje wąskie usta.
Chociaż, czy ty naprawdę oczekujesz na wytłumaczenie,
na usprawiedliwienie?
Może zawsze chodziło tylko o więcej czułości?

Dlaczego nie w tym życiu jeśli inne losy są zamknięte,
teraz i na zawsze.
Chociaż zielone, skośne oczy matki pragnęły zobaczyć w synu
nieśmiertelność lub zyskać choćby obietnicę,
że nie będzie cierpiało.

Dlaczego nigdy? Dlaczego wobec nikogo?
Może na moją spowiedź czeka ojciec,
skatowany przez polski los szlachetka kresowy,
któremu oczy zapełniały się łzami na sam dźwięk słowa Polska.

Milczę. Milczę. Milczę!
Patrzę na swoje życie jakbym dopiero planował
narodziny. Mój rówieśnik orzech lekko i cierpliwie –
mówiąc i owocując – układa toccatę Bacha.
Stoimy razem, wczepieni ze wszystkich sił
w ten sam kawałek ubogiej gliny,
w bezwietrznej ciszy,
pod ogromnym światłem sierpnia.

Pniowo

Drzewa w tym miejscu na Ziemi rosną od czasu
gdy zniknął z niego dom.
Nisko pochylony zapadły w opiekuńczy piach
przyszyty starymi jaworami
do zachłannej szarości nieba.

Jak umarłeś?

Opustoszały wśród odwróconych obłoków
gdy niski wiatr wygładzał rytm trzynastozgłoskowca
i dudnił losu ciężki konwój?
Znad Łaby przez Witebsk do Moskwy
lub przez Psków Wilno Warszawę wzdłuż ciepłej równiny
ku zasobnym spiżarniom paryskich filozofów.
Kobiety śniące w twoich sypialniach
osłaniały w sobie piąstki światła bo czuły
zbliżający się zwyczajny dla tych okolic przemarsz
dziecięcych duchów i pajacyków
dosiadających koni na biegunach
z bagnetem u skroni i kroplą krwi
zaschniętą na pisklących skrzydłach.

Jakże niedawno rozbite na twoim miejscu
obozowisko klonów i brzoź
zaplątane w pył planet
w kcliwe nawoływanie przekwitających traw.
Na flagach gałęzi intensywne żółcie
podbarwione resztkami ginącej zieleni
inkrustowane bandażem czerni i purpury.

Pozwólcie że przykleknę
w cieniu waszego ognia.

Na starym zdjęciu otwarte okiennice i kojący śnieg.
W starym języku dom mówi o mnie
który mam się dopiero urodzić.
Słucham o tym co dzisiaj może narodzić się we mnie.

Popiół i obietnica karmią drzewa
sięją nasz *byt podniebny*.

* * *

Cieliste słoje lipy obejmą cię litośnie
mleko jej ciepłych kwiatów ukoi jak piosenka.
Usiądź pod liściem spocznij
niech lśni twój wieczny sen.

* * *

Za wybitymi oknami i resztkami drzwi
zmurszałe niespełnione losy stęchły smród
moczu i skłębione ludzkie
śmieci.

Na ścianie wśród ordynarnych rysunków zakłęć
i niewysłuchanych wyznań wyblakły ślad
po krzyżu.

W prześwicie wibruje żarłoczna modlitwa
kurzu. W migocącym witrażu ognia tańczy
lekko unióśszy dłonie
prawie niewidzialny
diabeł.

Mgły, ścierniska

Ziemię ponad wszelką wątpliwość płaską
ogranicza jedynie cynobrowo-malinowy szron chmur
i odległa litania oceanów.
Pociąg stoi nieruchomo wśród niepewnego śpiewu
młodych lasów Mazowsza.
W jego zamartym wnętrzu poruszają się tylko powieki
śpiącej kobiety. Ani migdałowe dłonie ani przeźroczysta skóra
nie mogą zasłonić serc nienarodzonych dzieci
które wypełniają szczelnie jej ciało.
Budzę się z bólem serc moich dzieci.
Wokół nieruchome oddechy woskowych figur podróżnych.
Blakną majaczą na korytarzach w przedziałach nikną
w cieniu obok kolejowego nasypu.
Już nigdy nie wyruszymy dalej
ani do W. ani gdziekolwiek.
Szary śnieg? piasek? przysypuje pociąg.
Ziemia przygasa pokrywa się drżącym popiołem.
Zapamiętałe zawzięcie zapada się w sobie
przemienia w wiatr głuchy gwizd
drutów wysokiego napięcia sen ciężkiego
dymu zawodzenie zamkniętych dworców.

* * *

Ciemna niema turkawka łopoce bezgłośnie
wisząc pod kopułą między światłem a hałaśliwą ciszą.
Nie zauważona w Bazylice Grobu Chrystusa
w Jerozolimie Roku Pańskiego 2008.

Czarnoziem

Dla M.W.

Podczas pielgrzymki ich miłość żywy nieruchome wody
Dniestru rzeki bez źródeł i ujścia rzeki bez granic
w granicznym kraju otwartym jak niska mgła
leżąca na grząskich rozlewiskach.
Kolory żywy ich serca zdobywały ich skórę
ślinę żołądki i wątroby:
sinozielony kosmos równiny wokół Podhorców pasące się gęsi
i kolumny korynckie wyrastające z łąk między
zapadniętymi chałupami
czerwono-złoty gregoriański śpiew zgniłych śmieci i gruzu
wypełniający po sklepieniu dominikańskie cele
w bielejącym jak duch Hamleta Kamieńcu Podolskim
posiwiata zapominająca o własnym oddechu przestrzeń
której nie obejmuje ani strofa wieszczą ani modlitwa
ani przekleństwo
szczerniały bezsilny kolor niekończących się
głodujących łąnów niezżętego jęczmienia i żyta
wypływały majaczący w ciemności mężczyzna
ciągnący przez pustkowie drewniany pusty wózek.
A ponad serdecznym zagięciem horyzontu
nasycony wszystkimi barwami podniebny korowód
tańczących w towarzystwie skowronków
pasikoników trzmieli i motyli
nieśmiertelnych dzieci
Wołynia i Podola.

* * *

Kosmyk siwizny skręcony na palcu mech
mgły nad Machulcem
nad młodzieńczymi bukami o sprężystych skórzastych
liściach które wydają się tak silne że przeżyją zimę
nie opadną będą wciąż młodnieć aż staną się znowu ostrymi
pąkami oprawionymi w paloną sienę i liliowe złoto.
Gotowe do ciągle młodego życia.

Miałem zostać lekarzem a zostałem starym człowiekiem.
Moi rówieśnicy dom i orzech unikają wspomnień
choć powstałi wyłącznie z pamięci.
Myślą ciągle o nieznanym wzgórzach
soczystych uderzeniach w klawisze sezonów i werble
źródeł ciepłych smugach ciężarnej ziemi
kojących językach szorstkiego ognia.

Ochra i kobalt pogoda tych dni.
Nad łąkami późnego lata zawisł deszcz dróg
błyszczący kurz szeleści mrowisko samochodów.
Dzisiaj przyjedzie do mnie moja ukochana.
W rozklekotanym autobusie jej kapryśny łąpczywy sen
pochłania chłodne refleksy dnia
przechylonego ku żniwom.
Nie chcę żono żebyś przywoziła pamięć
Nie chcę żebyś przybyła z przeszłości
nie chcę żebyś przyjechała młoda
to Bóg niech pertraktuje ze śmiercią.

Jodły wdowy listy długich nocy
ich jedwabne szale z Waranasi.
Sierpień nie gasi pragnienia
sierpień karmi lecz nie daje pić.
Ale suche lasy ukrywają najgłębsze źródła
wiatr znad Azji obfituje w dostatek pragnienia
upalne dni jak zamknięte książki bogate są
w ochrypty okrzyk miłości.

Pogoda tych dni zatrzymała się
po drugiej stronie drogi czeka.
Jest cicho.
Wołaj wołaj ze stepów!
Jak dobrze jest czekać
słuchać rytmu serca weneckiego mistrza
i czuć w piersiach następne uderzenie nieobecności.
Rude światło tonie i wypływa ze zmienioną twarzą.
Przypomina dni których dotkniemy? Ostrożnie
razem ich żywicznej rosy i niepewnej niebezpiecznej
urody?
A może cofniemy w ostatniej chwili zgodę na to
co nie nastąpi co niemożliwe?

Och ale przecież nie będzie inaczej niż za chwilę
gdy będziemy słuchać jak nad kwitnącymi wrzosowiskami
faluje lekki śpiew dzikich pszczoł.

„Allemanda, corrente, sarabande, giga, ciaccona”

Dla B.

Człowiek który z matematyczną precyzją nazywał to czego nie obejmuje opowieść. Nie oczekiwał iluminacji wkładał perukę i kaligrafował kolejny raz jasny wzór tajemnicy. Zmęczoną dłonią ojca dwadzieściorga dzieci kierował przyptywem i odpływem oceanu fugi. Ślepiec który zamykał frazę między północną a południową półkulą świata.

Dzisiaj w wilgotny lutowy wieczór zaprowadza porządek w sercu dwudziestoczworoletniej kobiety która stojąc na początku XXI wieku wśród zhańbionych zwłok śląskich kopalń odczytuje kod *Partity d-moll*.

Słucham bezwładnie beztładnie myślę o światowym krachu finansowym o przyszłości dzieci gdy jedno z nich z niepokojącym rodzajem miłości w półprzymkniętych oczach używając wiśniowego smyczka oddaje mi podarowuje? lata stracone na daremne poszukiwanie słów.

Zakażona krew Górnego Śląska niesie gorączkę. Niemy psalmista słucha. Z beztładnego hałasu Katowic bezdomni zalegający fabryczne rudery wyławiają śpiew syren policyjnych patroli.

Dotykam letniego wypełnionego złotym śniegiem pasma włosów córki jej nadgarstków które zaprojektował Guarneri.

Wokół duszny oddech stłamszonego życia. I zaborcza coraz bardziej bolesna wszechogarniająca jak chaos cisza.

Poemat dla dorosłych

Pamięci Rodziców, mieszkańców Nowej Huty

Znad wielkich pieców pełzł nisko gorzki żal dymów i krążył
w płytkim powietrzu
starego koryta Wisły. Półpiśmienni chłopi *wojną złamani losem*
starci
stali w gęstym tłumie i z trudem obracali w ustach słowa świeży
śnieg
i siny stalowy ogień. *Pater noster qui es in coelis*
sanctificetur nomen tuum. Adveniat regnum tuum.

Ich matki w Karpatach w słodkim pyle Lubelszczyzny
w szmaragdowozielonych skrzydłach Jodłowej Puszczy szły
boso na
sumę przez szadź późnej nocy w chustach zsuniętych na czoła.
Opuszkami palców krążyły niemo po paciorkach różańca
a puls głośno recytował modlitwę.

Ojcowie stali w błocie przed polowym ołtarzem z językami
zanurzonymi w wietrze
nasiąkali chorałem łącińskich słów i ssącą wilgocią przednówka.
Klucz głosów zataczał równe kręgi nad resztkami wsi Bieńczyce
razem z cichą rodziną wron.

Po kostce ulicy Kocmyrzowskiej terkotały metalowe obręcze kół
cygańskiego taboru a z ramion smukłej matki wrywało się
smagłe nagie dziecko.
Cierpliwa ranna droga przyjęła także obracające się wolno koła
samochodów

za których szybami błyszcząły oczy poetów
szukających natchnienia.

Za ołtarzem za plecami chmur szybko biegnących w nierównych
szeregach mokły chaty bielone wapnem z ultramaryną żółty
spychacz

i czarne pismo sadu.

Ludzie światło i rzeczy krążyli wokół siebie a Ziemia obracała się
coraz wolniej szukała innego porządku aż zatrzymała się
i przestała podążać

ludzkim śladem.

Pobłogostawieni dzieci kobiety i mężczyźni wstali z kolan i ruszyli
ku chwiejnym blokom krusząc w palcach twardey chłód resztki słów
i suchy tytoń wiatru.

Krążyli niemo wokół jeszcze żywych zdań jak bociany przybyłe
przedwcześnie

nad zamarznąłą łąkę i bojąc się je wypowiedzieć szybowali
w wysokiej ciszy

i upadali na zastygłą ziemię jak strącone gliniane gniazda.

A Ziemia już się nie poruszyła i trwała uspokojona jaśniejąca
niedotykalna.

* * *

Węgiel gwiazd i tlenu zimny spokój
wrzesień cumuje u bram raju
błyszczący smak wody sieje wiatr
przez okna obracane cienie.

Lej wino w piasek na nowy wiek.
Czy żyłem i czy mogłem uciec?
Śmieje się tańczy za szkłem świata
jak pszczeli rój w różanym słońcu

mama dziewczynka coraz młodsza.
Ja też mam sześć czy siedem lat
i boję się że będę spał i spał i spał
aż wstanie sen by odejść z tobą.

Czeka tornister i fartuszki stopa
i cierń płoną wieczne drzewa.
Mleczna droga uderza ostrzem
cierpkich szalonych kołujących liści.

Adwent

Cierpliwy ogień w glinianym piecu, w kuchni w Ciepeliowie
szóstego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego
roku.

Na stole starannie uprzątniętym matczyną pewną ręką

z niepewności i lęków stała drewniana misa biało-żółtych
ziemniaków a gorąca para wspinała się ku górze po wąłym
sznurze światła.

Skrzypienie drzwi prowadzących z kuchni do paradnej izby
i domowy spokój płynął przez ich milczenie jak cierpliwy wiatr
ciepły, wypełniony radością mijającej chwili. Siedzieli razem
głodni licząc słoje w drewnie stołu. Czekali na ojca.

Ojciec poszedł zanieść ziemniaki Berkowi Pinechesowi
i innym ukrytym. Gdy wrócił jedli wszyscy wolno zachowując
szacunek dla każdego oddechu westchnienia kroku serca
w przyszłość czując smak swojej obecności na ziemi i w niebie.

W piecu ogień wytrwale podążał swoją drogą wychodząc
naprzeciw
jasnemu losowi. Skulony płonął w dłoniach jedzących obiad
ogarniał ich jasne głowy i oświetlał dymem wioskę i gasnącą
gwiazdę.

Po raz pierwszy ojciec nie potrafił wyjaśnić dlaczego ogień
jest zimny jak jego brak. Dlaczego ogień powstał przeciwko
ogniowi.

Ogień piekielny przeciwko diabłu, ogień niebieski przeciwko aniołowi.

Ojciec milczał jak język usychającego ognia. Jego dzieci objęte gałęziami gorejącego krzewu słyszały zimne słowa: Panie
mogłem żyć
ale nie urodziłem się. Mogłem zmartwychwstać ale nie umarłem.

Wolfgang Amadeusz M.

Odkąd pamiętał był chory.

Powóz na wybojach rzucał z kąta w kąt
jego drobnym ciałem a podróż zamykała bezlitośnie
jak dożywotniego więźnia w nawoływaniu woźniców
w bezdomnym kołysaniu.

Wtedy pragnął zanurzyć się w śnie mleka i krwi
schronić w brzuchu matki
połączyć pępowiną z rajskim ogrodem muzyki
płodowych wód.

Gwar publiczności nie wrywał go z maligny
chłodna pieśczoła klawiszy klawikordu
koła jedynie palce
a łoskot drewnianych kół nie przestawał dręczyć
bezrozumnymi pytaniami:

Czy jest jakiś wybór między pudrem a wapnem?
Glinianym dołem a łaską dworskiego przedpokoju?
Nieprzytomnym snem a lekkim obrotem w kadrylu?
Pękającymi płucami a słońcem reńskiego wina?

Mózg a może diabeł śmiał się:

to błaża sztuczka że sztuka zbawia
to naiwność wierzyć że istnieje Wiedeń
to niemęskie kłamstwo że gnije Europa
to niema piosenka że można powrócić
wieczność i śmierć to bliźniacze złudzenia.

Widział siebie przez mgłę partytury
miał na głowie czerwony kaptur kata
biały kaptur spowiednika sierocą koronę bluźniercy
a wszystko rozpalone gorączką i kobiecym lękiem
krążącym po salach balowych buduarach garderobach
rynsztokach i sklepach gdzie już niczego nie dają na kredyt.

Jego płuca zżerały nuty ulepione z rtęci.
Ukryty w falbanach koronkach kaftanach perfumach
słyszał jak dudni głuchota oprawna w tłusty jedwab
w perukach lęgnie się robactwo a z dekoltów diademów
wachlarzy snuje się dym fałszywych dźwięków.
Widział jak po obrusach z adamaszku człapią zmęczone konie
potrącając kielichy kompotiery półmiski
ciągnąc dwukołowy wóz ze stosem trupów.

Kurtyna poszła w górę i tysiąc kandelabrow oświetla scenę
tańczą sine ciała wraz z damami dworu
nagie w półśnie śpiewu o niewiernym chłopcu
śnieg ich nie okryje ale mróz nakarmi.
Różowe panny zapisują czarnymi palcami
jego imię zatrzymują dla niego następny menuet
on spadając z wozu nieco sztywno się kłania
jak wymięty list bez adresata szybuje w dół
rozlega się śnieg braw donośny jak muzyka
której nie ma i która nigdy nie powstanie
choć on ją słyszy w pustych płucach ziemi
i wie tak brzmi zmartwychwstanie.

Gładki kamień

Listopad ozdabiał południe ostrym ołówkiem miasta
szadzią i cierpliwością gawronów z północy
nadzieją na wielki lot świata i krzyk jasnych okien.
Mężczyzna w średnim wieku z pierwszym przymrozkiem
na szczupłych policzkach szedł przez wzgórze zgiełku
lewobrzeżnej Warszawy.
W garniturze Burberry koszuli Calvin Klein przenikał mgłą
adwentu i niesłyszalny alfabet
nieważkich ulic.

Miasto zamknęło mężczyznę w przepaści powietrza
gdy zastygł bez przyczyny na placu Trzech Krzyży
i trwał tak przeciwko sobie i wbrew prostocie drogi.
Jego oddech wzleciał i upadł na chodnik
był jak przemożny ciężar
jak zamarznęty motyl utraconej pewności i dziecięcej siły.
Jego cień choć on stał bez ruchu przesuwiał się nadal
szukając innego ducha i ciała
ciepłego nieba.

Wszystko co widział to zdjęcie swojej młodej matki
zrobione zaraz po wojnie gdy świat rósł bez niego
kiedy jak dzisiaj jak teraz zupełnie nie istniał.

*Czyja jesteś ręko która mnie miękko dotykasz? Podnosisz
popychasz lekko lecz bez odwołania puls niepokoju?
Jaki zgiełk i ciężar zagubionej stopy jaki koniec
i jaki początek mogą jeszcze otworzyć
moje kroki?*

* * *

Kochałem cię umartą
umytą czasem co przyjdzie.
I porzuciłem cię wierząc
w wierność zapomnienia
i ludzki bezludny los.

Jeśli nie byłem tobą
kim byłem w namiocie ognia
co czeka między wargami
na słodką sylabę krwi.

Jeśli jesteś wszędzie
to mogę przestać istnieć.
Jeśli mną – będę milczał
jak śnieg zakopanej monety.
Przez ciebie Ziemia przezierna
naga w osnowie słów.

* * *

Życ tylko w pojedynczym losie
rozpoznanym do nudnego bólu?
W jednej czaszce zmieścić
to co nie mieści się w kuli rozszyfrowanym
ogniu piosence nieśmiertelnych?
Wiatr wieje przez wieki ze mną na końcu języka.
Czy mogę być uczniem czarnoksiężnika z Lipska
gdy ten wstępując w arię otwiera wnętrze czasu
wpełza pod wulkaniczne popioły
do zdania Orygenesusa aż do stóp jego ducha?
By inni mogli zajaśnieć gdy wejdą w progi słowa?

Rosnę więc z każdym kolorem oddanym Inianemu płótnu
w tajemnych sprzysiężeniach sonetu i heksametru
w zarostach pogardą strofach tych co ze śmiercią
szukali nędzy słów.

Czy mogę żyć w tych umarłych
w których szukam gniazd końca?
Syn dał słowo i czeka.
Paul Celan nie mógł czekać aż usłyszę werset
sinej Sekwany płynącej przez dymy Czerniowiec.
Antyczny lodowiec Osip Mandelsztam
ciągle mówi żywymi ustami
anioła kobiety i dwugłowego czasu.

Jednego nie mogę uniknąć
losu matki i ojca.

Próbowałem uciszyć wzburzone tłumy popiołów
wcielić w inne zdarzenia ich żarliwy gniew.
A wiosną chciałem ciszę nie nicość zobaczyć.
Wśród lat nienarodzonych i upadłych epok szukałem
klimatu który sprzyja prostej liturgii miłości
uprawie tkliwych wspomnień
dystychem czerwcowych przysięg.
Chociaż potwierdzam próbowałem także
wcale się nie narodzić.

* * *

Więc jestem ja
i nikt nie wytyczy marszruty moich myśli.
Nie oprawi ich w bursztyn z juków Galla
ani w szelest koronek akernańskich stepów.
Moje jednorazowe życie nie będzie kompilacją
z dzieł patetycznego Greka czy chorowitego syna Mantui.
Świat poznam ponad czasem – dotykem wężem i śliną
unikając zakłóceń naskalnych malowideł
czerni krzyża Jadwigi pocztówek od Vermeera.
Królewskie zmysły bez świadków
pracują na polach miłości.
Jest tylko jeden kłopot jak wyczyścić język
z nalotu cudzych losów?
Wymazać obraz matki gdy podnosi rękę
od czoła do piersi ramion i kosmyka dymu
zdmuchniętych świec dłoni?
A może cudzy niewierny i wprawny w zdradzie
język zetrzeć z powierzchni piękna?
Używać tylko przedmiotów bez fugi ich opowieści?
Być tylko teraz i nigdy – oto jest odpowiedź.
A jeśli wziąć za ręce gadatliwy tłum przodków
to tylko po końcu świata
gdy to co opisane ulegnie przedawnieniu
a pamięć Bóg zachowa już tylko dla siebie.

Ale co zrobić z drzewami?
Tak tęsknią za smakiem strofy
starego poety Leopolda Staffa

Sykomora powiada że pamięć jej nadal służy.
Do dzisiaj widzi Świętego Jana
jak zdejmuje sandały i czyta w milczeniu
list jej gorzkiego cienia.

Lato

Sierpień czterdzieści lat temu leżymy na wznak
siedemnastoletnie szczenięta Jacek Czarny Pedro
i rozwichrzona przyjaźń
nieuważna lękliwa skryta.

Pod plecami odpoczywa gorący piasek
bliskie niebo przygnięta zamknięte powieki
nie ma przeszłości ani grawitacji
a wokół stroi głosy nieprzeliczony chór
wysokiego powietrza Borów Tucholskich.

Było lato.
Nieogarnione życie mieściło się w krótkim spojrzeniu
okrzyku kluczącym przez sen
przeźroczyście jak niemożliwa śmierć
czekające jak lotne nasiona dobra i zła
na ugory nowych kontynentów
na łany słodkiego słońca.

Mieliśmy w piersiach
mrowie przyszłych pór
i pewność że przetrwamy syreni śpiew przyszłości.
Wiedzieliśmy że szybujące wzgórza
miasta schodzące w doliny
krzyk sójki i bulgot autobusu Jelcz
wykruszą się i wyblakną
jak refren *Nowhere man* Beatlesów
a my ciągle tacy sami będziemy trwać

aż do prawdziwych narodzin upragnionego
niewyobrażalnego świata.

Łabędzie przyływały o czwartej
i choć śpiewaliśmy nie było słychać słów
bo przecież istnieliśmy gdzieś indziej
a raczej mieliśmy między sobą tajną umowę
że będziemy żyć później spełnieni i doskonali
na wyblakłych kartach rodzinnych albumów
w kronikach szkolnych i parafialnych archiwach
raportach szpicli i majakach zwiędłych kobiet
w opowieściach w innym języku o kimś
kogo nikt nie zapamiętał.

Gościliśmy ukradkiem w przepastnej niepamięci
jak prześwietlony negatyw
ironiczni i smutni
w wypożyczonych tylko do końca wakacji
trochę za dużych ciałach podpatrzonych gestach
i pragnieniach które bolały jak prawdziwy ból.
Zasypialiśmy przykryci podziemną falą energii
rozgrzanych łąk nienarodzonej miłości
butelek wina myśliwskiego papierosów Sport
i chłodnych wizyt matek w gwałtownych snach.

Ale zdarzało się że w roztargnieniu
nasze głowy siwiały na chwilę
i tonęły w mglistych wspomnieniach
o tym jak przed laty niezauważeni
postawiliśmy stopy
na wodach wieczności.

Hymn

Pamięci Zygmunta Kubiaka

Wysoka mowo
ty stwarzasz szorstki szlif kolorów skrzydeł szczygła i szpaka
szafranowy szyfr piaszczystych łąch
obsypanych szczodrym szkliwem Wisły

ofiarny dym domostw na dachach Dominicznej Góry i rzeźbisz
wietrzny ludzki posąg według surowych reguł
gramatyki i stylu.

Bez twojej rzetelności i błogostawieństwa narodziny byłyby
zaledwie
krótkim postojem podziemnych planet o ślepych ramionach lub
ogniem
który nie oczyszcza wody i światła.

To cierpliwe samogłoski i łatwopalne sylaby chroniły ułomne
istnienie
urodzaj dłoń zanurzoną w ziemi i stworzony przez Boga
płodny werset.

Jaka jest odpowiedź na pytanie czy barbarzyńcy
byliby jakimś rozwiązaniem?

Już późno. Nad naszymi czaszkami unosi się lament przekupniów
i ślad bezpotomnej przestrogi której już nikt
nie potrafi wymówić.

Retorzy nie przychodzą i zapomnieli o sobie świadkowie w mowie
gotowi świadczyć że jeszcze wczoraj byliśmy muzyką
w konarach świętych słów to znaczy
byliśmy ludźmi

więc mieliśmy prawo do wysokiej śmierci i jasnej
pamięci.

Nuta

Szekspir drzewa narysował
Gdy nadchodzą w mgle wysokiej
Mozart świat zabandażował
Śpiewa w śniegu sonat oddech

Fortepianu jasne słowa
Ciemność w polach się kołysze
Drętwe ręce chora głowa
Nieprzytomnie wzywa ciszę

Ach ta radość ciemna zimna
Pachnie kawa w twoich ustach
Mleko w piersiach się przelewa
I zapełnia księża pusta

Imiona rodziców

W sieci dojrzałych zapachów krążą pszczoły słów:
wichajster cykamfes albo *obszuszpany i tentegować*.
I osobny słownik mamy upominającej lub pieszczącej braci
ssący jak ptasi sen o życiu które dopiero nadejdzie
zza siedmiu gór.

I śmieszne przyzwyczajenia które po latach
już nie wydają się dziwactwami ale mocnym ścięciem
przyszywającym rodziców do wiekuiстых obłoków
gdy szybują w ślubnych ubraniach jak na rysunku Chagalla.
Boże, jak długo wstrzymywałaś ciemny ton rozważań
skrzynkowego zegara w stołowym pokoju
i długą wędrówkę wskazówki od minuty do minuty
w kuchennych obrotach pór.

Powinna była iść jeszcze wolniej bym mógł
zrozumieć pismo potłuczonego
jak imbryk zdania które przedarło się przez drzwi sypialni
okrzyków i śmiechu kruszącego mury tego świata
rozstań które były jak pieszczota przyszłości.

Chociaż już chyba rozumiem że nie mogłem zrozumieć
bo póki żyję to co trwa ukrywa się przede mną
w czaszkach wyszczerbionych słów.

Zbierałem więc tylko skrawki strzelistych chwil
złoty haft powietrza krótkie gesty cienia
by skleić z nich mapę najczulszej ojczyzny.
Leży teraz równo złożona w bukowej skrzynce
razem z nieużywanym napałstkiem
szpulkami agrafkami i zielonym filcowym sercem
szumiącym jak wróżba
niespokojnych pól.

* * *

Wrocław wykluwa się ze zdrętwiałej mowy grudnia z wojny mgieł. Nierozbudzony przygląda się potyczce głodnych gawronów z wyniosłą wroną o porzuconą kromkę chleba. Niemieccy emeryci wspinają się na taras widokowy Panoramy Racławickiej wspierając się na laskach i sobie nawzajem. Ich kobiety z ulgą nie odnajdują na płótnie niemieckich mundurów. Rannych i ciągle walczących Rosjan oświetla delikatne bezlitosne słońce kwietnia 1794 roku. Szumią magnetofony z niemieckim opisem bitwy. W niedzielny poranek narody ostrożnie ocierają się o siebie. Bataliści po długim wieczorze w knajpie Pod Jeleniem przekraczają zlikwidowane granice swoich domów. Pejzażyści kładą się na rozbitym szkle horyzontu. Europa naciąga kołdrę na głowę chce jeszcze chwilę pośpać. Lub chociaż udawać przed domownikami że śpi. Dopiero w poniedziałek załśni ekran kontynentu wyleci na żer głód przedmieść uderzy chciwy śnieg. Wrony caryce cierni zabierzcie ze sobą mój kamień i zwątpienie. Otoczcie zasiekami snu. Unieście ponad mgły słone pióra elegii.

Oczekiwanie

W Rzymie wyjętym z czasu na przełomie wieków kobieta mówiła do dzieci tak jak w milczącym świecie nie mówią już ludzie do ludzi. W ciemnym wnętrzu Santa Maria del Popolo dzieci patrzyły na matkę nieruchomymi źrenicami nie oddychając i powstrzymując poruszenia sarnich serc.

Przy płótnach *Nawrócenie św. Pawła* i *Ukrzyżowanie św. Piotra* kobieta rozświetlona jak bursztynowa amfora mówiła o uwięzionym w każdym uczynku spojrzeniu i skrawku myśli Bogu który czeka na uwolnienie.

Byliśmy w jednym kręgu światła porażony łaską Paweł z Tarsu koniuszy rodzina turystów i trzech katów ciężko pracujących przy zabijaniu Piotra. Od dwóch tysięcy lat żarliwie przemawiały kobiece usta. Caravaggio umierał porzucony na plaży

od czterystu lat. Trwał popiół lipca. Przed kościołem ślepe białe
oko
obejmowało kamienną biel obłoków marmur białych murów
i biały
puch bruku. Było południe więc nie mogłem zostać uzdrowiony
przez cień Piotra jeszcze żywego czy już ukrzyżowanego.

* * *

Bez sznurowadeł stare buty Ojca.
Za domem połamany
cień. Słowa.
Nieodwracalne.

Ortografia

W dzieciństwie *ch* nieme i *h* dźwięczne wymawiałem jednakowo
Ojciec pytał: jak można mylić głoski które brzmią inaczej?
Chata – herbata powtarzał
Słyszysz?

W ojcowskim *ch* włókł się chudy chłód święciańskich piasków
królowały serdeczne sosny ścinane na maszty
i świeciła przylepiona do ciemnej szyby dziecięca twarz
wypatrująca w wieczór Wigilii
błąkających się w sąsiedzkich mgłach
ogników aniołów

Żył w *ch* uparcie zapach zaginionych mężczyzn
tęcza wygnieciony w śniegu dziewczęcy policzek
i cichło granie psów Dziadunia
gdy wybiegały daleko przed dom
by eskortować gości nadjeżdżających bryczkami
rozkołysanych obłoków

H chwieje się w ustach
jak uroczysta podróż na ramionach Ojca
i życie niepowstrzymane
cwałujące jak husarskie hufce pod chorągwiami tajemnic
Trwa twardo w spłowiałych listach z sowieckiego łągru
Drży jak kieliszki w serwantce
gdy Szaulisi w ciszy otaczali dom
a Zdrowaś Mario ze strachu mieszało się z Ojczy nasz

Do dzisiaj huczy w moich płucach
hymn chwały siostrzanych spótgłosek
i kaligrafuje skrzypiącą stalówką
dziecinne prośby o przetrwanie.
Codziennie przeciskam się przez tłum słów
leżących pokotem na śpiewnych i niemych liniach życia.
Wystarczy że dotknę pierwszej litery alfabetu
a nienarodzeni opuszczają domy
idą po świeżo wykrochmalonym śniegu
jeszcze miękkim od kolęd
w butach ulepionych z gorącego chleba.
Gdy wymawiam ostatnią jestem kimś kto zaginął we mnie
i sylabizuje litanie monottonnych sylab
grzebie jak pogorzelec w popiołach
odwraca kijem nadpalone słowa.
Kimś kto szuka nieśmiertelnego sensu
w strzępach ciał upchniętych w samogłoskach
zgrzycie bezcielesnych rzeczowników
i pieśniach pełnych hańby stuleci.

Powinienem mówić coraz dokładniej a niemieję.
Nie wiem jak wypowiedzieć Twoje wielogłowe imię
dlatego krążę jak gorączka w obrzękłych światłach
migotliwych miast (choć Ty jesteś
jak zdrowie)

* * *

Pod gładką skórą greckich amfor
Nad białym blaskiem Jerozolimy
Błyszczą szkło mowy wskrzesza klangor
Wersety wietrzne wiecznej winy

Za garbem słońca klęczy Rzym
Tkwi oścień Moschea di Roma
Embrion Europy szepcze hymn
Lecz jego śmierć już jest bezdomna

Mówił poeta i szedł za nim
Złoty drapieźnik – cielec ciszy
A krzyk i czasu kurz pokrywał
Pustoszejący szlak polszczyzny

Wsiądź na osiołka ranny bracie
Ślad losu otul chustą wiotką
Niech wiatr osłoni dzieci pacierz
A serce śpiewa jak nieboskłon

* * *

To co mi dałaś z ust mi pij
Smoły i miodu szept królewski
Sieroce czółno stukot mgły
I czarny obrót słów niebieskich

Tym co mi dałaś nakarm czas
W pieleszach puls uocal miłość
W chuście słownika ukryj nas
Kłam że nikogo tu nie było

* * *

Nie wierzysz że obok twojego ciała
nosiłam pod sercem wszystkie pozostałe?
A moje wody nie były bezbronną kroplą
lecz źródłem oceanów trzymającym lądy na uwięzi?
O tak w moim brzuchu mnożą się planety
rosną strony świata
Iśnią wszystkie krajobrazy
Moja ślina i język leczą rany miast
Milczenie ułaskawia nienarodzonych
Moje jajo jest kością wszystkich czaszek
Moja macica jak korona równika błyszczy na skroni nieba
Kolia piersi pasie przyszłe pieśni
Czas to ja
ojczyzna matek
mleko światła

* * *

W mojej epoce już wymieram
Na dno niczego kamień toczę
Jak żarna gorzko opowiadam
Gdy wąż i popiół splotą dłonie

Choć żywe słowa śnią w niebiesiech
Konnica nocy karmi ogień
Pod piersią matki jak w bezkresie
To ocaleje co zapomnę

* * *

Wątroba przybita do Uralu
do Berlina przykute stopy
Przez moje rozwleczone wnętrzości przepływa Wisła
jak zatruta cyklonem tatarska strzała
Jestem ślepy i z grupą naćpanych Jagiellonów
zebrzę na parkingu pod supermarketem
Na czele Władek Litwin z kudłatą mową
na plastikowym sercu ma wytatuowane dwa miecze
i hasło cyrylicą o wielkiej ojczyźnie
Jestem niemy ale krzyczę z radości bo odzyskaliśmy śmietnik
wieczorami czatujemy przy nim na Bogurodzicę
podjeżdża wypasioną bryką pełną piwa
skrzydła polakierowała na czerwono
a gdy ją koronujemy na królową imprezy
stawia i można u niej usunąć
chronić niepodległość
swojego brzucha
Łatwo zostać Bogiem
gdy noce są ciepłe i hojne
wróg śpi w Holiday Inn
życie nie ma granic
a ja jestem królem wyprzedaczy
Lekko jest żyć
gdy Bóg się waha
czy świat ma istnieć
czy nic

* * *

Snem zszyty świat pod światła stopą
Śpiewają wiatru smukłe wieże
Nikt niemo patrzy z mdłych neonów
Choć obok stoi Bóg ja wierzę

Że odszedł Bóg? Wierzę mu?
I porównuję śmierć do słowa
W ręku ojcowskim rośnie nóż
Zabić by wierzyć wciąż od nowa?

Choć stoję tu Bóg mi nie wierzy
Odłamkiem ciszy mnie zastąpi
Pustych kościołów pochód śnieży
Sadzą zwiniętych w krwi chorągwi

Choć rośnie świat wciąż mniejszy jest od kropki
I nie wiem co w ostatnim zdaniu mi powiedział
Sens śni śpi los w prowincji szeleszczącej mowy
Lśni w oku kosmos a na powiece miedziak

* * *

Moi przodkowie moczą nogi w obłokach Kazachstanu
w cerkwi Uralu liczą wrzody odmawiając różaniec
w imperium londyńskiego deszczu gniją ich włosy i sny
w zakolu Wilii patrzą jak sępawik zanurza się w pamięć
z bochnem domu piosnkami i wszystkim co było

Rósł czas gdy niczego nie zabiera się ze sobą
zdążyć można widok z okna zwinąć w rulon
wepchnąć razem z całym światem za pazuchę
między nuty jaskółcze co na liniach
obozowych drutów piszą hymn

Ojciec w litewskich lasach służył w zwiadzie konnym
by wykrzyć wroga na czujnej klaczy gnał przez wioskę
wolny – uwieczniony na celowniku karabinu
przez artystów z Berlina bogonośców z Moskwy –
za pazuchą miał tylko bezdomny dym

Czas szczeł lecz ja słyszę śpiew i rżenie koni
w celi ciała nieładzko zamkniętej
Zapał dzień więc muszę skończyć zdanie o wolności
i ziemię rodzinną na wszelki wypadek
zwinąć w rulon i schować gdzie jeszcze nie wiedzą
jak się pędzi stada losu przez step

Śpi Łubianka przydeptana śniegiem bosych stóp
jak stosami nieczytanej *Prawdy*
płonie obok Reichstagu szklany dach

przez gasnący zachód uderzony purpurą jak krwią
Moje prochy wciąż granice przekraczają
wilczym tropem niknącej ojczyzny
szepcą nucą jak dzieci idące do nieba
z bożą krówką na dłoni – Europą z gałganków
po kobiercu porzuconych słów
których już rozumieć nie trzeba

Cóż powiedzieć Ci mogę późny wnuku
wolność jak powietrze nie gasi pragnienia
Żeby żyć prócz pragnienia potrzebna jest wierność
bowiem groby dziadów nie jest łatwo znaleźć
i pochwałę powagi pogrzebaną w zgiełku

Bo zbyt krótkie są dni krótkie noce lata i godziny krótki krok krótki
równik zbyt zawiła mleczna droga bym Ci we krwi wyrył czuły
szyfr

i do niego klucz wręczył
szlachetny niestety

Myślałem że wybieram lecz tylko uległem
Na początku początków wybrał mnie psalm matki
jej śpiewu dom ruchomy wsunął mi za pazuchę
przeznaczenia węzeł
wieczny wiatr

Nagie buki

Wdycham słodkie powietrze i przychodzi gorzka godzina.
Ze zbocza w nieładzie schodzą smukłe trawy.
Bordowe i złote gałęzie derenia
zapisują na śniegu nieśmiertelne zdania.
Wsiąkam w sarnie ścieżki słów
w zziębnięte zgłoski.
Za plecami uderzają o pnie buków fale twojej krwi.
W domu ofiara chłód i milczenie czekają przy stole.
Rozpalam w kuchennym piecu i słucham tego co zawsze
Czterech ostatnich pieśni, Preludiów, Wariacji Goldbergowskich.
Każdej nuty z osobna i skargi ogromnego chóru
milknących instrumentów.
Jestem jednocześnie chłopcem i starym człowiekiem.
Chłopiec mówi do mnie: postuchaj, musisz być cierpliwy
to co chcę opowiedzieć o tobie
muszę dopiero przeżyć.

W koronach brzóz

Maj chudnie i gardzi resztą miesięcy
Więcej sypiam mniej śpię
piję miksturę na żołądek
czytam Maraię i Brodskiego

Minęły dwie zimy odkąd zaległem na zboczu
niewielkiej góry przeciętej siedemnastoma zakrętami
gminnej drogi

Tu nie ma demokracji
twarda dyktatura dębów odbiera mi głos
delegalizuje samotność
wysysa pochopne istnienie
nie pozwala wybierać między nocą i dniem
kropla po kropli zakopuje w glinie wędrowną krew

Gdy rankiem zanoszę jeleniom owies i siano
oplata mnie pajęczą spowiedź brzóz
i nie wiem
jak dalej milczeć

Dom i ucieczka

Pień metasekwoi skręcony ciasno wokół
tajemnicy?
Pięknej lub marnej prawdy?
Szczerości śmierci?

Ścinam drzewa i suszę polana na wietrze
Zranione pnie i konary już nie chłoną światła
ścielą bezdomne gniazda
wiążą w twarde węzły niemożliwe
z minionym

Splątane słoje obejmują mnie chłodno
jakbym poległ wraz z nimi
układał na stosie własne kości
i szukał schronienia
w ogniu

A ja jak każdy tchórzliwy człowiek
chcę jedynie przetrwać zimę
i nie mogę uniknąć
ciosu drwała

Wierność

Płowo-czarny Niu
niedźwiedziowaty kundel z dziada pradziada
w ojca wdał się nieświadomie bo go nigdy nie widział
Mama jest damą w bieli ozdobioną trzema znakami
ciemności które nierozważnie burzą rytm
linii jej życia

Niu podwórkowy prowokator
rośnie i mężnieje w tempie
nieosiągalnym dla ludzi
Mimo milkiwego mrozu z hałasem
kąpie się w strumieniu
Wiem – zostanie łagodnym odkrywcą
choć cuda tego świata zostały już zdobyte
zranione i zbezczeszczone

Będziemy razem tropić nornice
wygrzewać żebra w słońcu
pławić w śmiesznych klęskach
zakopywać w lesie wspólny testament
i ukrywać przed nieuchronną
wolnością

Pongo

Pongo postrzelony pinczer
sześć lat przesiąkał neogotyckim kurzem
Collegium Novum
ocierał się o profesurę i studenterię
i z namaszczeniem podlewał hondę jego magnificencji
Na wsi korzysta z nieobecności historyków i filologów
i lekceważy argument że psy jego rasy wyhodowano
by tępiły w gospodarstwach kuny tchórze i wszelkie gryzonie
Wyleguje się na tle biblioteki i uwodzicielsko przystojny
patrzy na mnie z pobbżaniem
gdy obok przemyka mysz

Postrzelony pinczer Pongo oddycha
tylko po to by mknąć przez świat
z absolutnie nieosiągalną prędkością
Resztki suchej zimy
wezbrane płuca Tymowskich Gór
przysiółki świerków i smukłe sylwetki kruszyny
strajk nauczycieli i pielęgniarek
wypchana nowymi mapami Europy
rura Nord Stream
bezdietne dzieci nienarodzonych dzieci
i garbaty horyzont Nowego Jorku są tylko tłem
dla ptasiego błysku jego sierści

Czasami teatralnie poszczekuje
na wiewiórki bezczelnie kradnące orzechy
Przed dzikiem ucieka z godnością

niedbałym truchtem by nikt nie pomyślał
że jest zblazowanym miejskim humanistą
ulegającym zbyt prostym
prawom przyrody

* * *

Być albo kryć się
w opuszczeniu rzeczy
Życ albo zapominać
niknąć w niemej chwili
Z pamięcią nawet śmierć mnie nie rozłączy
Porzucić można tylko przyszłość
reszta jest powracaniem

Prowadzę ostatnio oszczędne rozmowy
z bukami i lipą
ostrożnie obserwuję kocice i psy
czy mogły wyczuć ślad Boga
Czekam szczególnie na podpowiedź
siwobrodego mędrca mieszańca owczarków
szkockiego i niemieckiego plus paru kropel
niezbyt pewnej krwi

Zanim rano wstanę i na oślepie dotknę
stwarzające słowo
pies już wie i wybacza
zgadza się być słabszym
Mnie nadal upokarza
wierna niecierpliwość

Za ścianą śpiewa kosmos
morze nie podchodzi bliżej
Las wyruszył ale pozostanie
dobrym domownikiem

Pracujemy wspólnie
by coś po sobie pozostawić
Ja sieję trawę
nim zmyje mnie
deszcz

* * *

Parują lasy ciągnie cicho
ciężba ciężkiego powietrza
Psy złapały trop sarny? Może dzika?
Nie muszę ich przywoływać
wracają węższą zabijanie
zostawiają humanistom

Gaśnie bielmo upału
blaknie blask obłoków
Wlecemy się razem z kotami
szczerniałym przesmykiem strumienia
przez soczyste sny nasion
pod pszennym deszczem pszczoł

Na nasze płochliwe słowa
czekają w domu mistrzowie
objęci jądrem jasności
zranieni piętnem rozumienia

Siądziemy wraz z umarłymi
i póki wystarczy pamięci
będziemy strzeliście śpiewać
by unieść kruchą wieczność
ponad ucieczkę milczenia

2017

O zmierzchu z psami do Zelin
po rudej glinie
przez bezwładną Europę
wzdłuż rozproszonych światła
błotnistych źródeł

Mijam rozsnuty tłum obłoków
zżółkłe łąki śpiące w rowie
ściegi storczyków
Chwiejne łachmany przodków
Z garbatym uporem orzą ugór
Marzą o jałmużnie bożej
burzy

Las Psalm Zastygłe psy
W doryckiej ciszy surowe proporce modrzewi
z zamiętania do pokory i wysiłku
pomnażają pierwotne piękno

Wyciągają do mnie ramiona
ciepła lipa
Pieta Rondanini
Matka oparta o ołtarz buka
modli się? Stoi w kolejce po kartkowy cukier?
Czeka na moją pomoc?
Pozwoli mi jeszcze żyć?

Jak długo będę jeszcze odróżniał poranioną Nike
od stosów porzuconych ciał

miasta wczoraj odbudowane
od wczoraj zburzonych
lub niszczonych teraz
apostatów od kapłanów
siłę kłamstwa od nędzy kłamców
przemoc wolności od handlu niewolą
Na wszelki wypadek moja miłość
sypia z bronią
dom zmienia miejsca noclegu
strach wkleja do paszportu
anonimowe zdjęcia

Wracamy wyrwą wąwozu
milkną myszołowy
Jeszcze krok i zapłonie
szarzejąca klęska zachodu
Uderzy potop
nieruchomej nocy

1981

Wodnista wolność w wiśnickim więzieniu
Bezbronny zapach chleba Znużone stopy wzgórze
otulił nocą ociemniały śnieg Odwilż Rozmarza pacierz
schrypłego miasteczka O dachy zgrzyta szorstka
gąsienica dymu Z karceru snów o ucieczce
na grzbietach aniołów wyłażą oficerowie Szukają ślepo
ortów na zardzewiałych guzikach Myją zgrabiące
dłonie w słodkim mleku kobiet Imperium czka
i krąży od ściany do kraty Z bełkotem płynie bimber
rurociągiem przyjaźń Mleczarz dzwoni na jutrznię
Szwycy szpalt rannych gazet rozpruwa charkot
pokrwawionych słów Dziecko sylabizuje
próbuję powtarzać Diabeł
prosi o ciszę

1943

Gdy tamci gromadą szli w stronę kościoła
suma już trwała
Proboszcz z wysiłkiem dźwigał ciało i krew
bo w dłoniach ukrył wszystkich zgromadzonych
i wzniośł ich ponad sen słońca i nieważny czas
Kurz przyglądał się chciwie przez jasne witraże
milczenie rozpoczęło pokutę i post

Spodziewali się rzymskich kohort Piłata
misy z wodą niewzruszonych kapłanów
i żydowskiego tłumu
I jak zawsze z niejasnym choć znajomym lękiem
czekali by ktoś inny nagi pohańbiony
zginął zamiast nich

Tamci z siekierami widłami i motykami
szli do kościoła jak na sianokosy
żęcie zboża wykopki albo wyrąb drzew

Stłoczeni w nawie wierni cierpliwie dojrzewali
do śmierci jak schylone przez blask sierpnia kłosy
lub ospały w słońcu groch
Po lewej klęczały kobiety przy nich dzieci
z prawej mężczyźni

Krew opuszczała beładnie psalm responsoryjny
bez porządku starszeństwa i nie podług zasług
Święty Paweł z namysłem pisał list do Koryntian

widział wszystko notował w zbielełej pamięci
lecz nie wiemy jak zdołał odepchnąć myśl
że nowa ofiara nie jest już potrzebna

Żniwiarze z mordowani zdzieraniem ubrań
butów obrączek kolczyków koralu
wrócili do wsi odpocząć
przy zabijaniu chorych

Ja najmniej godny z Lachów
zbyt leniwy i grzeszny
by umrzeć na stopniu ołtarza
miałem zginąć razem z psami
w ogniu pierzyn i krzyku kur

Uderzony obuchem gorączki
leżałem nieprzytomny
w jamie pod stodołą

Ocalałem
by jak martwy milczeć
pół wieku

* * *

Mama biegła nauczać
tych co przeżyli wojnę
a mnie zostawiała w celi
nauczycielskiego pokoju
Płakałem opuszczony
czekałem na widzenie
i słodką wolność karmienia
Pewnie dlatego już zawsze
czułem w szkole niepokój
I teraz gdy słyszę blekot
raniący główki dzieci
bezwiednie szukam kryjówek
i ssie mnie bezsens łaknienia

Skrepowanego becikiem
gryzł szurczy wzrok Bieruta
gdy słońce Stalina zgasło
zapłonął jego cień
I pewnie dlatego już zawsze
ufałem słowom słabych
i pustym ustom ofiar

Kiedy skończyłem dwa lata
ugrzęzłem w dymach szturmówek
tłumnych błot Nowej Huty
Pewnie dlatego już zawsze
kochałem bezładne bezdroża
i łopot czystych obłoków

Odpycham wciąż szturmy tłumu
i stare szczurze spojrzenia
Oddycham wszystkim co było
i każdy z dni tysiącleci
oddaje mnie przeznaczeniu

Niecierpliwe istnienie
siostra cierpliwej śmierci
jest tylko oczekiwaniem
na kwitnienie karmienia

Piero della Francesca Madonna Brzemienna

Beacie i Józefowi Ruszarom

Aniołowie odsuwają ciężkie zastony
unoszą kurtynę liturgii
by w wiejskiej kaplicy
w upale Monterchi
lśnił śpiew
tajemnicy

Parafianie ustawieni poza kadrem
tworzą pokorny chór
unoszący się jak żagiel
ponad skałą miasteczka
Piero della Francesca Madonna Brzemienna

Maryja stoi na scenie sama
Dzień dopiero powstał
i z sierpów srebrnych winnic
biegnie błogostawiony postaniec
łaski dziewiątego miesiąca
Jeszcze przed chwilą mozolnie
sprzątała w ciemności kuchni
pachnącej mdławym kurzem i gorzką oliwą
Teraz jej oczy toną w wiecznej chwili
i obejmują wszystko co było
w spojrzeniu Boga nieufnie
bezpotomne

Jej prawa dłoń koi puls
nienarodzonego ale nie oddala
proroctwa nawet o jedno uderzenie w serce

ostrza odkupienia
Palce wygięte jak pękający pąk
martwego drzewa
dotykają uniesionego
pod suknią brzucha
Niebieskiego świata
nad światłem
krzyża

* * *

Niech pan nie zostawia śladów!
Salowa podejrzewa że znowu
będę próbował odcisnąć
na skrawkach powietrza wody i ognia
niepewną stopę podejrzanego spojrzenie
lub niejasny los

Energiczna kobieta pucuje mleczną drogę
która lśni między salą numer jeden
a oszklonym ogrodem pielęgniarek
pachnących sennym rajem
Sumiennie zmywa naznaczony
podstępnie przeze mnie strzęp
czasu i odlatuje do innego kręgu
grzeszników

Zamykam oczy Ziemia toczy się
hałasuje
bez śladu

Widzę jak ludzie na powierzchni
beźładnie uciekają
przed śmiercią
a porzucone anioły
pracowicie połykają
brud

Stawiam stopę na ziemi
Już nie zostawiam śladów?

Ukrywam się przed sobą?
Rozpływam w mgławicy
przeświałlonych
słów?

Oddział

Usiądź pan na krześle to prześciele łóżko
mówi opiekunka do Franciszka Z.
który leży bezwładnie i może poruszyć
tylko prawą ręką

Na oddziale dni są bardziej przeźroczyste
niż sen który tuła się po mojej głowie
już niemal sześćdziesiąt lat (od słynnej zimy
stulecia kiedy spod zmarzliny
sterczała tylko górna część trzepaka
a wiosną młotami pneumatycznymi
oczyszczano ulice z grubych warstw lodu
żuźla i piasku]

Wtedy którejs nocy połąkł mnie sen
o szczęściu
doskonale spełnionym
oderwanym od czasu

Sen i szczęście
układały się we mnie niemymi
warstwami jak światło śniegu
rosnące w marznącej za oknem
w ciemności

Tamtej nocy dorostem
Tamtej nocy przeżyłem swoje dni
do końca
Tamtej nocy zostałem opiekunem
śmierci

* * *

Moja krew traci orientację
Gubi się we własnych wspomnieniach
gorączkowo poszukuje zastępczego celu
błądzi po meandrach morfologii
gmatwa plany podróży

Moje obrażone kości odmawiają współpracy
Znużone chcą się ułożyć w ciekawszy wzór
zbudować solidniejszą i bardziej użyteczną
budowlę

Moje mięśnie marzą o wolności
o szybowaniu w bezkresnych przestrzeniach
o chłodnym świetle które odpoczywa wysoko
nad wolnością milczących
obłoków

Moja głowa pragnie otulić się
czułymi kwiatami komet
owocować bez chwili wytchnienia
podróżować szlakami korzeni
do mózgu ziemi
do życiodajnej żyły
nieuchwytniej
ciemności

* * *

*Każde zdanie służy jednocześnie
epitafium nieznanemu życiu*

Reiner Maria Rilke

Ekspedientka w spożywczym
która uważnie odważa szarlotkę z kruszonką
fryzjerka uświęcona rudym kokiem
światła
handlująca śliwkami piegowata
królowa
zgarbiona siwa dziewczynka która nagle zastygła
na przydrożnym przystanku
i jasną twarzą otula
pociemniałe słońce

Czy one wszystkie zapomniaty że wciąż trwa
ucieczka?
I tylko odruchowo osłaniają brzuchy?
Bezwiednie pragną ocalić
stópki i pochylone ku nim miękkie
czaszki z załączkami mózgow
malarzy baletnic
stolarzy krawcowych?

Chcą je zawsze tulić
usypiać w macicy przy piersi w drodze
przez pustynię?
Nieść na mdlejących rękach
ciężar większy
niż udźwignąć mogą
bieguny i równik?

Zdejmować z krzyża i nigdy nie składać
do grobu?
Czuwać przy grobie i nigdy nie przestać
uciekać?

Arqua

Petrarka zmarł na balkonie
za jego plecami czuwały lustra książek
pióra papier i freski
usta smagłych kobiet podobnych do ciszy
giętkich etruskich
amfor

Poeta rozproszył swoją śmierć
w powietrzu
drżącym od rozbijanych kłoców
mglistego marmuru
i od chłodnego pragnienia
oliwnych korzeni
dotykających piekła

Czy wyblakłe źrenice pobladłe wzgórza
winnice pnące się ku słońcu światła
zdołały zamknąć w sobie szyfr
testamentu? Zakodowały taniec
jasnowidzącej śmierci?
Zapisały błogosławiony lęk
słów?

Czy dopilnowały by kamień
kwiaty oliwa
i miejscowe wino
przeniosły krew i sen
sonetów

do słonych ust Osipa
do oschłych fraz Zbigniewa
i śpiewnych słów Josifa?
By na ciasnym balkonie
Mogły się bez końca
wydłużać wersy ścieżek
umilkłych
nienarodzonych
(i tych którzy
nie potrafią przestać
krzyczeć)

Wybór publikacji Jana Polkowskiego

POEZJE

- To nie jest poezja*, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa,
Warszawa 1980
- Oddychaj głęboko*, ABC, Kraków 1981
- Ogień*, Półka Poetów, Kraków 1983
- Drzewa*, Oficyna Literacka, Kraków 1987
- Elegie z Tymowskich Gór*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2008
- Cantus*, Wydawnictwo a5, Kraków 2009
- Cień*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2010
- Głosy*, Biblioteka Toposu, Sopot 2012
- Gorzka godzina*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2015
- Gdy Bóg się waha*, Instytut Myśli Józefa Tischnera, JMR Trans-
Atlantyk, Kraków 2017
- Pochód duchów*, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2018
- Rozmowy z Różewiczem*, Polskie Wydawnictwo Muzyczne,
Kraków 2018

PROZA

- Ślady krwi. Przypadki Henryka Harsynowicza*, Wydawnictwo M,
Kraków 2013
- Portier i inne opowiadania*, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot
2019

PUBLICYSTYKA

- Polska moja miłość*, Wydawnictwo Pro Patria, Warszawa 2014
- Rzyko bycia Polakiem, z Janem Polkowskim rozmawia Piotr
Legutko*, Instytut Literatury, Fundacja Lethe, Kraków 2019

Spis treści

Józef Maria Ruzsar	
<i>Jan Polkowski. Zaczynając od mojego osiedla</i>	5

ODDYCHAJ GŁĘBOKO

Translated from Polish	29
Katakumby	30
Strumień wieczności	31
* * * [<i>Ogień chodzi po tobie</i>]	32
* * * [<i>Oddaję ci: żebro ręce nogi</i>]	33
Krwawiące piersi	34
Tak, jestem obcy	35
Chorał, wschód	36
Wspomóż nas, Panie	37
* * * [<i>Odwiedzają mnie czasami</i>]	38
W okopach kościoła Niepokalanego Poczęcia	39
„Snuć miłość”	40
* * * [<i>Świat to tylko powietrze</i>]	42
„Sław'sia, Otieczestwo nasze swobodnoje...”	43
Czy narodziłeś się, człowieku	44
„Nie znam tego człowieka”	45
Przy ogniu	46
Plecami do światła	47
* * * [<i>Przykryty chorobą</i>]	48

DRZEWA

* * *	[<i>Nie było nic – oto co było</i>]	49
* * *	[<i>Kim bowiem byłem jeśli nie jednym ze słów</i>]	50
* * *	[<i>Bolałem nad sobą to znaczy</i>]	51
	Niech przepadnie zgiełk	52
	Europa	53
	„Noli me tangere”	54
* * *	[<i>Jakież to było piękne</i>]	55
	Pragnąłem cię, chociaż byłem śmiertelny	56
* * *	[<i>Ty jesteś szarość nad szarościami</i>]	57
	Zmierzch	58
	„Co nie jest wymówione, zmierza do nieistnienia”. Czesław Miłosz	59
	Nieprzeniknione [Pablo Picasso okres niebieski i różowy]	60
* * *	[<i>Nie ma ich jeszcze – kolory dopiero powstaną</i>]	61
	Miłości, miłości najboleśniej śpiewaj	62
* * *	[<i>Za dużo chciałyście powiedzieć płowe słowa</i>]	63
* * *	[<i>Jestem tu między wami skrzydlate pagórki</i>]	64
* * *	[<i>Dobrze jest jeśli jest to co istnieć nie zdołało</i>]	65
	Sadzenie drzew	67

ELEGIE Z TYMOWSKICH GÓR

	Carskie wrota	68
* * *	[<i>Zaistnieć to znaczy opisać tę lukę w pamięci?</i>]	70
	„Aby się wypełniło Pismo, rzekł: Pragnę”	71
* * *	[<i>Nie mój – ten czas</i>]	72
* * *	[<i>Po wielokroć odkupiona</i>]	73
* * *	[<i>Mówi cię między rzeczami: kto jest w tobie</i>]	74

* * *	[<i>We śnie trzymałem w dłoniach szarpiącą się rybę</i>] . .	75
* * *	[<i>Przez chwilę: światło stuletniej jodły</i>]	76
* * *	[<i>W ciemności – wiatr</i>]	77
* * *	[<i>Pełen gracji panieński taniec</i>]	78
* * *	[<i>Noc Żłota dolina</i>]	79
* * *	[<i>Ciemny kielich stoku Machulca</i>]	80
* * *	[<i>W deszczu</i>]	81

CANTUS

Rzeka	82
* * * [<i>Dziewanna nawłóć wrotycz</i>]	83
Mniej światła	85
Podróż do Świącian	86
Pragnienie	88
Cantus	89
Pomieszane języki	92
Głos	93
„Ain”	94
„Juglans regia”	95
Pniowo	96
* * * [<i>Cieliste słoje lipy obejmą cię litośnie</i>]	98
* * * [<i>Za wybitymi oknami i resztkami drzwi</i>]	99
Mgły, ścierniska	100
* * * [<i>Ciemna niema turkawka łopoce bezgłośnie</i>]	101
Czarnoziem	102
* * * [<i>Kosmyk siwizny skręcony na palcu mech</i>]	103
„Allemanda, corrente, sarabande, giga, ciaccona”	105

CIEŃ

Poemat dla dorosłych	106
* * * [<i>Węgiel gwiazd i tlenu zimny spokój</i>]	108
Adwent	109
Wolfgang Amadeusz M.	111
Gładki kamień	113
* * * [<i>Kochałem cię umartą</i>]	114
* * * [<i>Żyć tylko w pojedynczym losie</i>]	115
* * * [<i>Więc jestem ja</i>]	117
Lato	119
Hymn	121
Nuta	123
Imiona rodziców	124
* * * [<i>Wrocław wykluwa się ze zdrętwiałej mowy grudnia</i>]	125
Oczekiwanie	126
* * * [<i>Bez sznurowadeł stare buty Ojca</i>]	127

GORZKA GODZINA

Ortografia	128
* * * [<i>Pod gładką skórą greckich amfor</i>]	130
* * * [<i>To co mi dałaś z ust mi pij</i>]	131
* * * [<i>Nie wierzysz że obok twojego ciała</i>]	132
* * * [<i>W mojej epoce już wymieram</i>]	133
* * * [<i>Wątroba przybita do Uralu</i>]	134
* * * [<i>Snem zszyty świat pod światła stopą</i>]	135
* * * [<i>Moi przodkowie moczą nogi w obłokach Kazachstanu</i>]	136
Nagie buki	138

POCHÓD DUCHÓW

W koronach brzóz	139
Dom i ucieczka	140
Wierność	141
Pongo	142
* * * <i>[Być albo kryć się]</i>	144
* * * <i>[Paruj! lasy ciągnie cicho]</i>	146
2017	147
1981	149
1943	150
* * * <i>[Mama biegła nauczać]</i>	152
Piero della Francesca Madonna Brzemiennea	154
* * * <i>[Niech pan nie zostawia śladów!]</i>	156
Oddział	158
* * * <i>[Moja krew traci orientację]</i>	159
* * * <i>[Ekspedientka w spożywczym]</i>	160
Arqua	162

Seria „Poeci Krakowa”

Stanisław Stabro, *Wiersze wybrane*,
słowo wstępne Julian Kornhauser [1995]

Adam Ziemianin, *Dom okoliczności łagodzących*,
słowo wstępne Stanisław Dziedzic [1995]

Krzysztof Lisowski, *Piętnaście tysięcy dni*,
słowo wstępne Janusz Drzewucki [1995]

Andrzej Warzecha, *Jesień z mostu*,
słowo wstępne Stanisław Dziedzic [1998]

Jerzy Piątkowski, *32 utwory*,
słowo wstępne Jerzy Mrzygłodzki [1998]

Józef Baran, *Pod zielonym drzewem życia*,
słowo wstępne Bolesław Faron [2000]

Henryk Cyganik, *Święty azyl*,
słowo wstępne Tadeusz Skoczek [2004]

Aleksander Jasicki, *Lista ginących gatunków*,
słowo wstępne Alicja Baluch [2006]

Andrzej Krzysztof Torbus, *Na skraju lasu jest zielony dom*,
słowo wstępne Tadeusz Skoczek [2006]

Krystyna Szlaga, *Niebo po lkarze*,
słowo wstępne Marian Grześczak [2006]

Leszek Aleksander Moczulski, *Krótko biją serca*,
słowo wstępne Bronisław Maj [2007]

Bronisław Maj, *Gołębia, Krupnicza, Bracka* [2007]

Elżbieta Zechenter-Spławińska, *Grudka soli pod powieką*,
słowo wstępne Wojciech Ligęza [2008]

Wojciech Kawiński, *Dwa lata wierszy*,
słowo wstępne Jan Pieszcachowicz [2009]

Julian Kornhauser, *Widok na jezioro*,
słowo wstępne Stanisław Burkot [2009]

Beata Szymańska, *Wybór wierszy*,
słowo wstępne Krzysztof Lisowski [2009]

Jerzy Gizella, *Sytuacje bezgraniczne*,
słowo wstępne Tadeusz Skoczek [2010]

Alicja Baluch, *Jutro odlot! Liryka rozłączenia, rozstania, odejścia*,
słowo wstępne Eryk Ostrowski [2013]

Tadeusz Śliwiak, *Smuga nadziei*,
słowo wstępne Jan Pieszcachowicz [2014]

Poeci Krakowa. Antologia,
słowo wstępne Marek Karwala [2018]

Zofia Zarębianka, *Wiersze (trochę) przebrane*,
słowo wstępne Marek Karwala [2019]

Jadwiga Malina, *Światło i szelest*,
słowo wstępne Joanna Zach [2020]

Leszek Długosz, *Do szkiełka z Muzeum Czartoryskich*,
słowo wstępne Waldemar Smaszcz [2020]

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

PATRONAT MEDIALNY





Poezja Polkowskiego od zawsze była rozpoznawana jako literatura apokaliptyczna, wieszcząca zagładę moralną i polityczną, lecz jednocześnie z zarysowaną delikatnie metafizyczną nadzieją. Wczesne wiersze, z powodu komunistycznego kontekstu, czytano głównie politycznie, choć wybitni krytycy (Stanisław Barańczak, Marian Stala, Tadeusz Nyczek, Marek Zaleski) z mocą podkreślali, że jest to nieuzasadnione zawężenie znaczeń, ponieważ nicość grożąca światu ma w poezji Polkowskiego charakter przede wszystkim egzystencjalny i metafizyczny, a dopiero wtórnie i nie zawsze – polityczny czy kulturowy.

Polkowski jest poetą katastrofy i wygląda na to, że nie znajdzie uznania albo po prostu znudzi wszystkich, którzy chcą tańczyć i śpiewać przy hipnotycznej muzyce. Myliłby się jednak ktoś, kto chciałby w tej poezji szukać pesymizmu. Nadzieja nie rzuca się w oczy, jest słaba i cicha jak ewangelia o przewadze rzeczywistości i Rzeczywistości, nic więc dziwnego, że często zagłusza ją zgiełk – symbol chaosu, nihilizmu i zagrożenia ze strony potęgi nicości. Ta nierówna walka toczy się w wielu utworach, a *explicite* w *Niech przepadnie zgiełk* [...]. „Wierność to długa opowieść” – tak rozpoczyna się poetyckie credo mówiące o nadziei, jaką daje uporczywa praca poety, aby zbrukanemu i zagrożonemu brudem światu przywrócić czystość i dobro za pomocą słowa.

Józef Maria Ruszar
(fragment wstępu)